



EUGENIA RILEY



*Do dwóch razy
sztuką*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Ostatni drużba się spóźnia?

Cassie Brandon była tak rozkojarzona, że nie dosłyszała płaczliwego pytania swojej pięcioletniej bratanicy Emily. W bajecznej sukni ślubnej z białego atlasu, z kurczowo zaciśniętym bukietem w dłoni, stała w przedsionku kościoła parafialnego w rodzinnym Houston.

Nie docierał do jej świadomości ani słodki zapach kwiatów, ani blask świec, ani szmer podnieconych głosów. Zaciskając zęby i mruczając pod nosem, patrzyła prosto przed siebie przez muślinową woalkę, nie zwracając uwagi na swoich sześć druzhen, plotkujących tuż za jej plecami, ani na siedmioletniego bratanka Seana, który drzemał w ławce, z jasną główką opartą na poduszce do podawania obrączek.

Cassie wsłuchiwała się w przytłumione głosy dobiegające z wnętrza kościoła, wiedząc, że goście zadają sobie to samo pytanie, co ona: Gdzie jest, u diabła, Brian Drake? Czuła, że jeszcze chwila i po prostu wyjdzie z siebie. Pierwszy drużba był już czterdzieści minut spóźniony, a powtarzana na okrągło przez organistę melodia „Wreszcie kogoś znalazłam” - piosenki Barbry Streisand i Briana Adamsa - działała wszystkim na nerwy.

Najgorsze, że ojciec Cassie wybiegł z kościoła dwadzieścia minut temu, zaklinając się, że „jeśli nie zaczną natychmiast tej cholernej ceremonii”, on załatwi to za pomocą strzelby - i do tej pory nie wrócił. Cassie nie wiedziała, czy spodziewać się ślubu, czy awantury w kowbojskim stylu. Ale w głębi duszy zastanawiała się również, czy skupiając uwagę na spóźnieniu drużby, nie ucieka przed prawdziwym, najbardziej dręczącym ją problemem - czy ona w ogóle powinna tu być.

- Gdzie jest ten ostatni drużba? - Znowu padło jęśliwe pytanie.

Tym razem Cassie usłyszała głos dziecka i poczuła silne szarpnięcie za fałdę sukni. Spojrzała na swoją małą bratanicę, tak ślicznie wyglądającą w stroju dziewczynki sypiącej kwiaty - w różowej rozkloszowanej sukience i w wianku z miniaturowych różyczek na głowie. W jej wielkich błękitnych oczach malował się niepokój i smutek. Dziewczynka była bardzo podobna do swojego ojca, starszego brata Cassie, Todda.

- Przepraszam, kochanie. Co mówiłaś? - Cassie uśmiechnęła się i pochyliła nad Emily, żeby dotknąć jej policzka.

- Spytałam - powtórzyła głośniejszym głosem - gdzie jest ostatni drużba.

Cassie nie mogła powstrzymać śmiechu, a za jej plecami zaczęły chichotać druhny.

- Pierwszy drużba, kochanie - poprawiła łagodnie. - Nie wiem, gdzie jest, spóźnia się.

- Ale jak on może być pierwszym drużbą, jeżeli się spóźnia?

- Dobre pytanie - z ponurą miną zgodziła się Cassie.

- Prawda? - zawtórowała jej Lisa, pierwsza druhna.

Cassie gotowała się ze złości. Próba ceremonii odbyła się bez Briana Drake'a i gdyby jej narzeczony Chris nie upierał się, żeby opóźnić ślub i cierpliwie na niego poczekać, na pewno do tej pory byłoby już po wszystkim.

Swoją drogą, dlaczego Chrisowi tak na tym zależało? Był przecież pedantem na punkcie porządku i punktualności. Na pewno ich wspólne życie zaplanował już w najdrobniejszych szczegółach... Ta myśl nie poprawiła jej nastroju.

- Dlaczego ostatni drużba się spóźnia? - naciskała Emily.

- Słyszałam, że jest w Colorado, wybrał się na wspinaczkę w Góry Skaliste.

- A jak się w końcu zjawi, to zostanie za karę w kozie? Cassie parsknęła śmiechem.

- W kozie? Nie powiesz mi, że w przedszkolu stosują takie kary?

- Nie... - szepnęła Emily, zasłaniając ręką usta - ale w drugiej klasie tak. Kiedyś Sean całe trzy godziny siedział sam w klasie i to się nazywa koza. A wiesz za co? Za to, że zawiązał w papier toaletowy paprotkę pani Wilson - ale nie mów tego mamie.

- Możesz być spokojna, nie powiem. - Cassie odpowiedziała poważnie, słysząc stłumiony chichot swoich druhen.

- Wyjdiesz za mąż za tego ostatniego?

Niespodziewanie to pytanie dało Cassie do myślenia. Czy przypadkiem nie wychodziła za ostatniego mężczyznę, za jakiego powinna wyjść?

Oczywiście, jej narzeczony, Christopher Carlisle, był inteligentny, rozsądny, a do tego przystojny. Niejedna kobieta na jej miejscu uznałaby go za prawdziwą zdobycz. Ale Cassie wiedziała, jak wiele ich dzieli, a wczorajsza kłótnia udowodniła, że nie chodzi, niestety, o sprawy błahe...

- No więc wyjdiesz za niego? - Emily domagała się odpowiedzi.

- Nie, kotku. Wyjdę za pana młodego. Chyba że „ten ostatni” w ogóle się nie pojawi.

Emily tylko jęknęła.

- Hej, Cassie, jak długo mamy jeszcze czekać na tego faceta?

Cassie odwróciła się do Lisy i zobaczyła, że wszystkie jej druheny, cała szóstka, w nerwowym napięciu oczekują od niej konkretnej odpowiedzi.

Westchnęła ciężko.

- Wiem... sama mam już tego powyżej uszu. Ale zdaje się, że Chris jest przekonany, że Brian w końcu się zjawi. Zadzwoił wczoraj z przeprosinami, że nie był na próbie, i powiedział „Zabierz mój smoking, na pewno zdążę na ślub” - może niedosłownie, ale coś w tym sensie.

- To zupełnie niepodobne do Chrisa... - Jenny, jedna z druhen, pokręciła z niedowierzaniem głową. - Chris, którego ja znam, nie pozwoliłby nikomu zakłócić własnego ślubu. Pamiętasz, jak umówiliśmy się we czwórkę do kina i

Chris dostał szału, bo Don i ja spóźniliśmy się dwie minuty? A teraz chodzi o jego własny ślub, na litość boską!

- To prawda - przyznała Cassie. - Ale Chris nie ma braci, więc pewnie jego mama nalegała, żeby wybrał na świadka swojego kuzyna.

- Poznałeś tego faceta? - spytała Molly, trzecia drużna.

- Nie i zaczynam mieć nadzieję, że go nigdy nie poznam. Brian mieszka w Denver i, jeśli wierzyć Chrisowi, jest zatwardziałym kawalerem i lekkoduchem. Żyje jak wolny ptak, podróżuje, gdy tylko przyjdzie mu na to ochota, ma bzika na punkcie wszystkich możliwych sportów ekstremalnych...

- I w każdym porcie łamie kobiece serca? - dopowiedziała z przekąsem Jenny.

- Jakbyś zgadła! - Cassie roześmiała się i poczuwszy następne szarpnięcie za suknię, spojrzała w dół na swoją bratanicę. - Tak, kochanie?

- A jeśli drużba nie przyjedzie, będę mogła zostać w tej sukience?

- Oczywiście, skarbie, że będziesz mogła. Twarz Emily rozpromienił szczęśliwy uśmiech.

Cassie wyprostowała się, zerknęła na zegarek, a potem odwróciła się do Lisy, kiedy organista po raz nie wiadomo który zaintonował refren tej samej piosenki o miłości.

- Nie, to naprawdę przesada... przecież na ósmą jest wyznaczony kolejny ślub. Chyba wyślę do Chrisa wiadomość, żebyśmy natychmiast zaczęli... tylko, do diabła, gdzie jest tatuś?

- Jest, nareszcie! - krzyknęła Molly.

Wyraźnie podenerwowany, wysoki, siwowłosy Bill Brandon podszedł szybkim krokiem do Cassie z wizytówką i bukietkiem niebieskich polnych kwiatów - z wyglądu przypominających orliki alpejskie.

- No, dzięki Bogu ten półgłówek wreszcie przyjechał.

- Chcesz powiedzieć, że Brian Drake zaszczyił nas swoją obecnością? - zakpiła Cassie.

- Dosłownie minutę temu wpadł do męskiej przebieralni. Czy wiesz, dlaczego ten idiota się spóźnił? Rozkoszował się do ostatniej chwili górską wspinaczką, a potem na jakiejś półce skalnej złapała go burza i nie zdążył na samolot!

- Żartujesz!

- Niestety nie. - Bill pokręcił smętnie głową. - Pewnie do łba mu nie przyszło, że my tu wszyscy wyłazimy ze skóry!

Tymczasem Emily, coraz bardziej zasepiona, szarpała Billa za rękaw.

- Dziadku, ty nie jesteś dziewczynką i nie możesz sypać kwiatów.

- Och, wiem, kochanie. - Uśmiechnął się pogodnie do wnuczki. - Te dostałem od pierwszego drużby.

- On też nie może sypać kwiatów. - Mała wciąż miała nieufną minę.

- Oczywiście, że nie. - Bill wręczył bukiet Cassie. - Jedynym usprawiedliwieniem pana Czarusia było to, że tuż przed wyjazdem postanowił pójść jeszcze w góry, żeby nazrywać dla ciebie orlików.

- Naprawdę? - Cassie, zbita z tropu, wpatrywała się w delikatne bładoniebieskie płatki, na brzegach przechodzące w głęboki fiolet. Brian Drake spóźnił się, bo poszedł w góry po polne kwiaty dla panny młodej? Poczowała niespodziewany uścisk w gardle.

Ojciec podał jej wizytówkę.

- A to jego przeprosiny za spóźnienie.

Kiedy starszy pan odwrócił się, żeby pogawędzić z Lisą, Cassie, oszołomiona, przeczytała: „Brian Drake, doradca inwestycyjny, Noble Rogers, Inc., Denver, Colorado”. I wiadomość na odwrocie skreśloną czarnym atramentem: „Cassie, przepraszam za spóźnienie. B.”.

Coś niebieskiego... Poczowała się wzruszona. Gest obcego mężczyzny całkowicie ją rozbroił - dziwne, bo przecież powinna mieć ochotę udusić tego kretyna za to, że omal nie zepsuł jej ślubu!

A jednak te skromne kwiaty, które przysłał Brian, wydały jej się cenniejsze od bukietu ślubnego za dwieście dolarów. Wiedziona nagłym odruchem, wsunęła kilka niebieskich orlików pomiędzy białe róże.

- Ciociu... - Emily, nie odrywając wzroku od Cassie, wspięła się na palce.
- Ja też chcę trochę niebieskich kwiatków. Moje wszystkie są różowe.

- Dobrze, kochanie. - Uśmiechnęła się i resztą orlików poprzetykała herbaciane różyczki w wianku Emily.

Kiedy w kościele rozległy się pierwsze takty marsza weselnego, ojciec Cassie westchnął z ulgą.

- Nareszcie... - Poprawiwszy klapy smokingu, spojrzał surowo na drużny.
- No dobrze, dziewczęta, zaraz ruszamy. Na swoje miejsca.

- Tak jest, sir - zasalutowała mu Lisa.

- Dziadku, ale Sean śpi - strapionym głosem szepnęła Emily. - I zgubił jeden but.

- A niech to, masz rację. Dlaczego nam wcześniej nie powiedziałaś?

Kiedy jej ojciec i Emily ruszyli do Seana, żeby go obudzić i włożyć mu pantofel, a drużny zaczęły się ustawiać w orszaku, Cassie ani drgnęła, wciąż przyglądając się niebieskim kwiatom w swoim bukiecie. Coś niebieskiego. Nie mogła uwierzyć, że Brian Drake, kompletnie obcy jej mężczyzna, zadał sobie trud, żeby nazrywać polnych kwiatów dla kompletnie obcej kobiety.

Dlaczego to zrobił? I czy Chris zdobyłby się kiedykolwiek na podobny gest?

Wrócił ojciec i podał jej ramię.

- Rozchmurz się, skarbie. Koniec cyrku, teraz już wszystko pójdzie jak trzeba. Jesteś szczęśliwa?

- Oczywiście, tatusiu. - Kiwnęła dzielnie głową.

Ale czy naprawdę była szczęśliwa?

Zdenerwowana, patrzyła, jak mała Emily rusza na czele ślubnego orszaku, sypiąc z koszyczka różane płatki. Za nią sześć druzhen, jedna za drugą, w pięknych sukniach koloru czerwonego wina.

Czekając na swoją kolej, Cassie czuła się coraz bardziej nieswojo. Miała poślubić mężczyznę, z którym, jak sądziła, dobrze się rozumieli, ale pewność jej uczuć zburzył nieznajomy, którego nawet nie widziała.

Zawsze uważała się za osobę zrównoważoną i rozsądną. Chociaż zdawała sobie też sprawę, że gdzieś głęboko drzemał w niej niespokojny duch. Zwykle umiała trzymać w ryzach lekkomyślną stronę własnej natury, ale od czasu do czasu to ona brała górę nad zdrowym rozsądkiem - jak wtedy, gdy zamiast pójść na szkolny bal, wybrała się gdzieś z koleżankami na cały weekend. Konsekwencje tamtej eskapady były oczywiście bardzo przykre. Rodzice umierali ze zmartwienia, dopóki do nich nie zadzwoniła, a jej wystawiony do wiatru chłopak szalał ze złości.

Ukochana, nieżyjąca już, babcia Cassie powiedziała jej kiedyś, że ból jest najlepszym nauczycielem - i miała absolutną rację. Po kilku następnych wyskokach, które przydarzyły jej się w czasach college'u, Cassie postanowiła, że nigdy nie pozwoli, żeby impulsywna strona jej natury zapanowała nad jej życiem.

Decyzja o małżeństwie z biznesmenem Christopherem Carlisle z pewnością nie należała do lekkomyślnych, nie mogła bowiem wybrać mężczyzny o bardziej konserwatywnym podejściu do życia. Na dodatek Chris był przystojny, zamożny, robił błyskotliwą karierę - nie sposób sobie wyobrazić lepszego partnera. No i kochała go - może nie było to uczucie przesadnie namiętne, ale za to bezpieczne i wygodne. Mieli grono przyjaciół, życie towarzyskie, chcieli wspólnie budować własny świat.

Dlaczego więc, nagle, Chris przestał jej się wydawać taki doskonały?

Cóż, tak naprawdę zawsze miał jeden bardzo słaby punkt. Był apodyktyczny, zaborczy, stawał się zazdrosny, kiedy Cassie spędzała zbyt wiele

czasu z rodziną lub przyjaciółmi. Nie dalej niż przed trzema miesiącami doszło między nimi do ostrej kłótni, kiedy Chris skasował wiadomość telefoniczną od jednej z jej szkolnych przyjaciółek, która była przejazdem w mieście. Z jego winy Cassie w ogóle nie zobaczyła się ze Stacy, a taka okazja mogła się długo nie powtórzyć. Kiedy dowiedziała się o wszystkim, Chris, przyparty do muru, przyznał się, że rozmyślnie skasował wiadomość, bo uważał, że Stacy zawsze miała na nią zły wpływ. Cassie wpadła w szal, gotowa była zwrócić mu pierścionek zaręczynowy, ale Chris ją przeprosił, obiecując, że nigdy więcej tego nie zrobi.

Mniej więcej w tym samym czasie ojciec Cassie, prowadzący własną firmę budowlaną, popadł w niespodziewane kłopoty finansowe grożące niespłaceniem kredytu bankowego. Chris wielkodusznie zaproponował, że poratuje Billa, jeżeli nie będzie więcej mowy o odwołaniu ślubu. Bojąc się, że jej ojciec może stanąć w obliczu bankructwa, Cassie zgodziła się na ten warunek - o czym nie powiedziała, rzecz jasna, rodzicom. I chociaż wkrótce jej ojciec zdobył bardzo lukratywny kontrakt, który pozwolił mu spłacić dług Chrisowi, Cassie nadal czuła się zobowiązana dotrzymać umowy - zwłaszcza że Chris nie omieszkiał jej kilka razy przypomnieć, że jest mu coś winna.

Ostatniego wieczoru przeciągnął jednak strunę. Musiał trochę za dużo wypić na tradycyjnej kolacji wieńczącej próbę ceremonii ślubnej i kiedy Cassie odwiozła go do domu, zaczął w arogancki sposób wykladać, czego będzie od niej oczekiwał jako od żony - wszystkiego, począwszy od uzgadniania z nim, z którymi przyjaciółmi będzie, a z którymi nie będzie się zadawała, a skończywszy na zmianie fryzury i stylu ubierania się. Poruszył również temat jej pracy, oświadczając, że zajmuje jej ona zbyt wiele czasu, dlatego po ślubie powinna zająć się wyłącznie domem. Cassie poczuła się zraniona i oszukana, bo przecież Chris obiecał, że nie będzie próbował ograniczać jej swobody. Z trudem, ale powściągnęła jakoś swoją furję, wierząc, że rano, kiedy obudzi się trzeźwy, będzie żałował swojego zachowania i wszystko odwoła.

Nic z tego. Kiedy zadzwoniła rano do Chrisa, skwitował cały incydent śmiechem i powiedział, że jest realistą, więc nie spodziewa się spełnienia wszystkich jego życzeń już pierwszego dnia po ślubie. Za nic jednak nie przeprosił i nie odwołał ani jednego słowa. Cassie była wstrząśnięta, ale zanim zdążyła się pozbierać, on upomniął ją, żeby nie myślała nawet o odwołaniu ślubu - nie chce chyba upokorzyć swoich rodziców...?

- Hej, kotku - zakończył na odczepnego - kiedy już będziemy małżeństwem, wszystko się jakoś ułoży, jestem pewien.

Przeszył ją zimny dreszcz. Chodziło mu zapewne o to, że jej życie ma się ułożyć na jego warunkach.

Cały dzień chodziła jak struta. Gdyby nie to, że ślub miał się odbyć za kilka godzin, mogłaby go odwołać. Ale Chris miał rację, że za nic nie chciała sprawić przykrości swojej rodzinie, tym bardziej że mama i tata włożyli tyle trudu w przygotowanie całej uroczystości, nie wspominając o kosztach. Bała się też pochopnie oceniać Chrisa, zdając sobie sprawę, że w takim dniu zawodzą ją nerwy, być może jest nieco przewrażliwiona i podchodzi do wszystkiego zbyt emocjonalnie.

Z drugiej strony ten pokaz męskiej siły naprawdę ją zaniepokoił. Zachwiał jej zaufaniem do człowieka, za którego miała wyjść za mąż - a czym jest małżeństwo bez zaufania? Jeżeli Chris bez skrupów złamał dane jej słowo, skąd pewność, że przysięgę małżeńską potraktuje poważniej?

Gdy nagle marsz weselny rozbrzmiał ze zdwojoną siłą, Cassie zakręciło się w głowie.

- No, córeczko... - Ojciec ścisnął jej rękę. - Ostatnia szansa na odwrót.

Mając wrażenie, że ojciec czyta w jej myślach, spojrzała na niego z przerażeniem.

- Nie mów tak! To może przynieść pecha. Zaśmiał się, ale zauważyła, że ma zamglone oczy.

- Skarbie, pamiętasz naszą rozmowę sprzed kilku tygodni?

- Oczywiście, tatusiu.

- Mam nadzieję, że nie wychodzisz za Chrisa tylko z wdzięczności za to, że poratował mnie pożyczką. Jak wiesz, oddałem mu już cały dług, z odsetkami.

Teraz i jej napłynęły łzy do oczu. Gdyby jej ojciec wiedział o subtelnym szantażu, jakiego dopuścił się Chris, pobiegłby po strzelbę - i nie po to, żeby wystrzelić na wiwat!

- Tatusiu, to wszystko jest... - zaczęła drżącym głosem - ...znacznie bardziej skomplikowane. Chris ma swoje zalety... to było bardzo szlachetne z jego strony, że pomógł ci w kłopotcie. Tak jak wielkie jest to, co ty i mama zrobiliście dla mnie. Wiem, że musieliście się zadłużyć na ten ślub.

- Chcemy tylko, żebyś była szczęśliwa.

- Tatusiu, jestem dużą dziewczynką i potrafię o siebie zadbać. Za bardzo się o mnie martwisz.

- Jestem twoim ojcem i zawsze nim będę. - Pochylił się i pocałował ją w policzek. - Jesteś piękną panną młodą, kochanie. Chris nawet nie wie, jakim jest szczęściarzem.

- Może masz rację - westchnęła cicho.

- Gotowa?

Cassie zebrała całą odwagę, żeby skinąć zdecydowanie głową, a potem wkroczyła ze swoim ojcem do kościoła, gdzie powitało ich morze uśmiechniętych twarzy. Drogę ścieliły im płatki róż, ale z każdym krokiem rósł w niej ściskający za gardło niepokój.

Spojrzała znowu na swój ślubny bukiet. Coś niebieskiego. Pojawienie się Briana Drake'a spowodowało, że jej niezdecydowanie przerodziło się niemal w panikę. Czy to przez bukiet orlików, które jej podarował, i kilka słów na wizytówce? Czy raczej fakt, że opóźnił swój przyjazd, żeby nazrywać dla niej kwiatów, tak bardzo ją poruszył? Mimo że zmusił do czekania pannę młodą, pana młodego i stu pięćdziesięciu gości? A może to, że był dokładnym przeciwieństwem jej układnego, ale wyrachowanego narzeczonego?

Cassie całą siłą woli próbowała zagłuszyć w sobie wątpliwości o charakterze Chrisa, ale one dręczyły ją coraz bardziej. Ni stąd, ni zowąd przypomniała sobie ich wspólne wakacje w Colorado. Zauważyła tablicę przy drodze i, niewiele myśląc, zaczęła go błagać, żeby zatrzymali się w prywatnym kanionie i skoczyli na linie bungy. Chris wyśmiał ją i zapowiedział, że nigdy nie będą robili tak głupich i niebezpiecznych rzeczy. Nagle tamto wspomnienie wydało jej się ilustracją tego wszystkiego, co było między nimi złe.

Próbowała odsunąć od siebie najgorsze myśli i zebrać odwagę. Gdy wypatrzyła w pierwszym rzędzie swoją mamę, ocierającą dyskretnie oczy, uśmiechnęła się i znowu poczuła wzbierające pod powiekami łzy. Zbliżając się do ołtarza, spojrzała na Chrisa, który odwrócił się, żeby do niej dołączyć. Bolesny skurcz ścisnął ją za gardło. Jej narzeczonemu nigdy nie wyglądał przystojniej niż teraz, w ślubnym smokingu. Dlaczego więc jego uśmiech wydawał się tak sztuczny, pozbawiony ciepła, a jasne włosy, które zawsze lubiła - dziwnie sztywne, jakby bez życia? W brązowych oczach zamiast namiętych iskerek widziała blask tryumfu. I dlaczego zapach jego wody kolońskiej, zwykle taki prowokujący, omal nie przyprawił jej o mdłości?

Poczuła lepki pot na czole. W przerażeniu umknęła wzrokiem na bok - i zatopiła go w twarzy mężczyzny, który stał obok Chrisa, mężczyzny, który przyglądał jej się z równą fascynacją.

Więc to był Brian Drake! Nieprawdopodobnie przystojny, opalony, o muskularnej sylwetce alpinisty i dłoniach rzeźbiarza. Miał ciemne, krótko przycięte włosy, wyrazistą twarz o szerokich kościach policzkowych i roziskrzone niebieskie oczy. Uśmiechnął się, kiedy spojrzał na jej bukiet i zobaczył swoje orliki wetknięte pomiędzy białe róże.

Mrugnął porozumiewawczo, a ona poczuła, że krew napływa jej do twarzy.

Co się z nią właściwie dzieje? Musiała natychmiast wziąć się w garść. Nie mogła przecież na własnym ślubie topnieć pod spojrzeniem świadka, kogoś,

kogo zobaczyła po raz pierwszy w życiu! Ale Brian ją naprawdę zafascynował - swoim wzruszającym podarunkiem, a przede wszystkim niezwykłą pasją życia, którą dostrzegła w jego oczach. Ona i Chris wpadli w zwykłą, przewidywalną rutynę codzienności i oto spotkała człowieka, który na pewno umiał cieszyć się każdą chwilą. Cassie uświadomiła to sobie z ogromnym żalem.

Nagle poczuła mocny uścisk ręki. Spojrzała na Chrisa, który zgromił ją wzrokiem, jak gdyby chciał zapytać „Co jest?”. Odwróciła się do ojca i siwowłosego pastora, którzy patrzyli na nią z równym zakłopotaniem. Jeszcze raz uśmiechnęła się blado do Chrisa.

Wielebny Murphy chrząknął znacząco i rozpoczął nabożeństwo.

- Ukochani, zebraliśmy się tutaj...

Cassie, bliska paniki, zdołała się jakoś opanować. W końcu to normalne, tłumaczyła sobie, że pannie młodej w ostatniej chwili puszczają nerwy. Na pewno nie zabrnęłaby z Chrisem tak daleko, gdyby do siebie nie pasowali. To ten uśpiony szatan, który w niej zawsze siedział, znowu próbował coś nabroić, ale przecież nie mogła mu ulec. Nie mogła sobie pozwolić na takie szaleństwo!

- A teraz chciałbym powiedzieć kilka słów Cassandrze i Christopherowi.

Głos pastora przywołał Cassie do rzeczywistości. Spojrzała na wielebnego Murphy'ego, który zamknął swoją książkę i uśmiechnął się do pary młodej.

- Cassandro i Christopherze, chciałbym, żebyście pomyśleli w skupieniu o cudzie, który przywiódł was w to miejsce - o niezwykłym darze miłości pomiędzy mężczyzną a kobietą. Nie ma nic cenniejszego, nic wspanialszego na tym bożym świecie...

Ostatnie słowa zelektryzowały Cassie. Znow, mimowolnie, powędrowała wzrokiem nie do Chrisa, tylko do Briana Drake'a. Znow pochwyciła ten czarujący, diabelski uśmiech i poczuła, że wszystko w niej topnieje z wrażenia. Któż potrafi przewidzieć ten cudowny moment, kiedy ktoś spogląda przed siebie, zauważa czyjąś twarz i ulega czarowi miłości?

Nie, to nie mogło jej się przydarzyć! To niemożliwe, żeby bukiecik niebieskich orlików i uśmiech nieznanego był w stanie zmienić czyjeś życie!

A jednak wszystko wydawało się takie realne. Patrząc na Briana, czuła radosne obezwładniające podniecenie, coś, czego nigdy przedtem nie doznała, i była niemal pewna, że Brian czuł to samo. Jeżeli jedno spojrzenie w oczy obcego mężczyzny mogło ją tak zauroczyć, małżeństwo z Chrisem byłoby jednym wielkim nieporozumieniem. Nie kochała go - w każdym razie nie namiętną miłością, bez której wcześniej czy później ich związek skończyłby się katastrofą.

Ale co, na litość boską, miała teraz z tym zrobić? Była w potrzasku. Półprzytomna ze zdenerwowania, znów usłyszała głos pastora.

- Drodzy Cassie i Chrisie, gratuluję wam obojgu, że znaleźliście tak rzadki skarb, jakim jest prawdziwa, zdarzająca się tylko raz w życiu miłość.

Kiedy wśród gości rozległy się ochy i achy, Cassie w desperacji odwróciła się do Chrisa.

- Cassie, o co chodzi? - szepnął.

- Chris, przepraszam. Ja nie mogę...

- Słucham?

- Po prostu nie mogę.

W kościele zapanowała martwa cisza.

- Ale dlaczego?

Cassie przeniosła wzrok na osłupiałego pastora, potem zerknęła na swojego ojca, równie zdumionego, i na Briana - w którego oczach malowało się zarówno współczucie, jak i zaciekawienie. Zdjęła z palca brylantowy pierścionek zaręczynowy i wcisnęła go w dłoń Chrisa.

- Dlatego... dlatego, że z tobą nie mogłabym skakać na bungy.

Odwróciła się i wybiegła z kościoła, zostawiając za sobą zaszokowanych gości.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedys będę się z tego wszystkiego śmiała... mam nadzieję.

Dwie godziny później powtarzała to jak zaklęcie, stojąc na molo przed Chateau Lafitte, luksusowym hotelem z wykupionymi na własność apartamentami, zbudowanym na wschodnim brzegu wyspy Galveston, zwróconym ku Zatoce Meksykańskiej. Za plecami miała dziesięć pięter betonu i szkła, z zewnętrznym dziedzińcem hotelowej restauracji, teraz już zamkniętej na noc.

U stóp Cassie stały dwie pełne butelki chłodzonego wina z lemoniadą, trzecia pusta, a czwartą, wypitą do połowy, trzymała w prawej ręce. Ogromne połyskujące fale rozbijały się o pomost, morska piana raz po raz ochlapывwała jej letnią sukienkę. Czerwcową noc była ciepła i wietrzna.

Suknia ślubna wisiała na górze, w garderobie pierwszej drużyny, bukiet z niebieskimi orlikami Briana Drake'a, w nienaruszonym stanie, leżał w lodówce.

Zabrawszy tylko walizkę z pomieszczenia służącego za przebieralnię, Cassie prosto z kościoła przyjechała tutaj, pamiętając, że Lisa dała jej klucze do swojego letniego apartamentu.

- Jeżeli w czasie wesela będziesz miała wszystkiego dosyć - powiedziała - i zechcesz gdzieś uciec...

Cassie uśmiechnęła się gorzko. Do wesela nie doszło - kompletnie jej odbiło i uciekła wcześniej.

Pociągnęła kolejny łyk napoju i spojrzała w niebo, na okrągłą tarczę księżyca. Księżyc w pełni - może on był przyczyną jej szaleństwa.

Ale w głębi duszy Cassie wiedziała, że tylko siebie może winić za to, co się wydarzyło w kościele. Porzuciła przed ołtarzem człowieka, któremu obiecała rękę, bo myślała, że go kocha. Dziesięć tysięcy dolarów, które jej ojciec wydał na ten ślub, poszło w błoto. Czuła się podle - przede wszystkim dlatego, że

zawiodła rodziców. Tak bardzo się starali, żeby wszystko wypadło jak najlepiej, a ona wystawiła ich na pośmiewisko, nie wspominając o stratach finansowych, które ponieśli z powodu jej wybryku.

Jak ona spojrzy ludziom w twarz? Przyjaciołom, rodzinie, swojemu szefowi... i Chrisowi. To prawda, że zachowywał się jak drań, ale jednak nie zasłużył na takie upokorzenie. Powinna była odwołać ślub dużo wcześniej. Teraz nikt jej tego nie zapomni!

Dlaczego zdobyła się na zerwanie dopiero dzisiaj?

Na pewno popis męskiej siły, jaki dał jej Chris po wczorajszej kolacji, wpłynął na tę decyzję. Ale był też drugi powód: Brian Drake. Jeden jego uśmiech, mrugnięcie i kilka polnych kwiatów wystarczyło, żeby normalna rozsądna kobieta oszalała jak jakaś egzaltowana nastolatka na widok sławnego rockmana. A co najważniejsze, pojawienie się Briana uzmysłowiło nagle Cassie wszystko to, czego brakowało w jej związku z Chrisem.

- Cassie? To ty?

O Boże. To był on! Ale skąd, nie znając jego głosu, po prostu wiedziała, że to on?

Odwróciła się. No i stał przed nią, tak jak się obawiała, pan Brian Drake we własnej osobie. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Przez moment patrzyła na niego bez słowa, jakby nie wierząc własnym oczom, ale już czuła ten zdradliwy dreszcz podniecenia przebiegający po jej skórze.

- Cassie? - powtórzył, robiąc krok do przodu.

- Proszę cię, daj mi spokój.

- Nie bój się, jestem Brian Drake, byłem na twoim...

- Wiem, kim jesteś - przerwała mu, odgarniając z oczu kosmyk włosów. -

Po prostu nie mam ochoty z tobą rozmawiać - ani z nikim innym, nie teraz.

- Nie jesteś zbyt gościnna, Cassie. - Z nieskrępowanym uśmiechem podszedł bliżej.

- Nie mam nastroju na towarzyskie pogawędki - odpowiedziała ponuro.

Brian przyglądał się jej uważnie, a ona czuła, że wszystko w niej dygoce. Ten facet musiał rzucić na nią urok. Światło księżycyca połyskiwało w jego włosach, wytrawny zapach jego wody kolońskiej drażnił jej nozdrza. Było w nim tyle życia. I ten rozbijający uśmiech, i piękne, głęboko osadzone oczy...

Do diabła, co ona wyprawia? Zaledwie dwie godziny temu porzuciła przed ołtarzem niedoszłego męża, a teraz bezwstydnie pożera wzrokiem jego kuzyna.

- Cassie, dobrze się czujesz? - zapytał tym swoim głębokim, aksamitnym barytonem.

- Oczywiście, że nie czuję się dobrze. Ale co ty tu robisz?

- Przyjechałem z misją rozjemczą. Mam cię błagać, żebyś rozważyła wszystko spokojnie i wróciła ze mną do kościoła.

- Proszę, jaki uczynny facet - mruknęła pod nosem. - Kto cię wynajął na posłańca?

- Właściwie nikt... zgłosiłem się na ochotnika. Wszyscy się bardzo martwili, kiedy uciekłaś, więc zaproponowałem, że cię poszukam.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Rozmawiałem z Lisą. Wspomniała coś o apartamencie nad zatoką.

- O, masz też zapędy detektywistyczne. - Głos drżał jej coraz bardziej. - Więc może wykazesz się inteligencją i zostawisz mnie samą?

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Westchnęła głęboko i spojrzała na morze. - Myślałam, że to oczywiste. Po prostu chcę być sama.

- Chyba nie rzucisz się do wody, co?

Cassie wzruszyła lekceważąco ramionami i podniosła do ust butelkę.

- Spokojnie, mam zamiar utopić swoje smutki, a nie siebie.

- Jesteś pewna, że dasz radę opróżnić to wszystko? - Brian uniósł znacząco brwi, a potem położył dłoń na jej ramieniu.

Wzdrygnęła się i żeby ukryć zażenowanie, pociągnęła następny łyk.

- Możesz się przekonać - powiedziała z krzywym uśmiechem. - Chcesz trochę?

- Nie, dziękuję.

- Jak na kogoś, kto uchodzi za kompletnego luzaka, to strasznie jesteś dętny w tej roli.

Otworzył szeroko oczy i zaśmiał się.

- Kto ci naopowiadał, że jestem „kompletnym luzakiem”?

- Daj spokój. Facet, który traci poczucie czasu, łażąc po górach i szukając niebieskich orlików dla panny młodej. Poza tym Chris wszystko mi o tobie powiedział - a raczej ostrzegł mnie przed tobą. Oryginał, lekkoduch, ryzykant, zatwardziały kawaler... Ale muszę przyznać, że ten portret wydaje mi się lekko przesadzony.

- No wiesz, może dlatego, że nieczęsto zdarza mi się występować w trzeciorzędnej roli.

- Fakt, że dzisiaj to ja byłam gwiazdą przedstawienia

- jęknęła żałośnie. - Dałam niezły popis.

- Każda panna młoda jest gwiazdą. Ale ty zrobiłaś wszystkim niespodziankę.

- Na pewno nie chcesz się napić?

- Nie. Lepiej, żeby jedno z nas było trzeźwe, jeśli mamy wrócić do Houston.

- Ja nigdzie nie wracam - odburknęła i podniosła do ust butelkę.

- Cassie... - odezwał się łagodnie po chwili milczenia

- masz pojęcie, jakie wywołałaś zamieszanie tą ucieczką?

Zacisnęła powieki, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy.

- Musisz mi przypominać? Dobrze wiem, co zrobiłam. Swoim rodzicom, przyjaciółkom, nie mówiąc o Chrisie. Wszyscy pewnie myślą, że jestem jakimś potworem - a do tego kompletną idiotką. A ty chcesz mnie tam zabrać i zmusić, żebym spojrzała im w oczy?

- Cassie, dlaczego uciekłaś od Chrisa?

- Ja... - Ogarnęła ją panika. - Nie mogę ci powiedzieć.

- Ale ja wiem.

- Ty... wiesz?

- Chyba tak. Powiniennem pamiętać, że każda panna młoda jest roztrzęsiona. Ale nie, musiałem się zachować jak ostatni palant i spóźnić się na twój ślub. Zepsułem całą uroczystość i dlatego tak się zdenerwowałaś, prawda? To wszystko przeze mnie, mam rację?

- O, tak, masz rację! - zaśmiała się gorzko. - To wszystko przez ciebie. Ale nigdy nie zgadniesz dlaczego.

- Posłuchaj, Cassie, chcę cię przeprosić za to nieszczęsne spóźnienie i całe zamieszanie, które z tego wynikło, ale nie powinnaś odgrywać się na Chrisie. To nie jego wina, że zachowałem się jak cham.

- A w jakim nastroju jest Chris? - spytała z ciężkim westchnieniem.

- Nie jestem pewien. Kiedy go ostatnio widziałem, topił swoje smutki w dużych ilościach szampana.

- Zaraz, zaraz... - Otworzyła szeroko oczy. - Chcesz powiedzieć, że moi rodzice nie odwołali przyjęcia?

- A powinni byli? - spytał z wesołym błyskiem w oczach. - Twój ojciec oświadczył, że nie widzi powodu, żeby zmarnowało się świetne jedzenie i picie warte pięć tysięcy dolarów. A twoja mama - owszem, wyglądała na zmartwioną, i wyraźnie jej ulżyło, kiedy usłyszała, że pojedę po ciebie.

- No tak, to do nich podobne. Boże, jak im spojrzę w oczy?

- Cassie, wróć ze mną. Jeszcze nie jest za późno. Wielebny Murphy jest na przyjęciu i jeśli się pospieszymy, zdążycie się pobrać. Możesz powiedzieć Chrisowi, że to był tylko kiepski żart.

- Nie mogę - nie teraz. Swoją drogą... - roześmiała się ironicznie - jestem pewna, że Chrisowi lepiej będzie bez takiej wariatki jak ja. Posłuchaj, Brian,

naprawdę miły z ciebie facet, doceniam twój gest, ale powiedziałeś już swoje, a teraz chciałabym zostać sama. Przepraszam...

Cassie odwróciła się w stronę morza, a Brian patrzył na nią z uczuciem bezradnej frustracji. Przypomniał sobie chwilę, w której zobaczył ją po raz pierwszy i pomyślał, że nigdy nie widział piękniejszej panny młodej i że jego kuzyn Chris jest największym szczęściarzem pod słońcem.

Gdy Cassie podeszła do ołtarza i spojrzała na niego z takim szczerym zainteresowaniem, zrobiło mu się ciepło na duszy. Zauważył, że wetknęła kilka jego niebieskich orlików do swojego bukietu. Ale kiedy uśmiechnął się do niej, raptownie odwróciła głowę, jakby w odruchu paniki. Widział, z jakim trudem usiłuje zapanować nad sobą, a potem coś w niej pękło i wyglądało na to, że jest bliska płaczu. Oddając Chrisowi pierścionek zaręczynowy, mruknęła coś dziwnego o skokach na bungy i uciekła z kościoła.

Co jej się stało? Nie chciała o tym rozmawiać, czuł jednak, że swoim spóźnieniem przyczynił się do całego zamieszania. I co teraz miał zrobić? Nie mógł wrócić do Houston z pustymi rękami. Nie mógł zostawić Cassie samej, upijającej się na pustym molo.

Odwróciła się do niego, z uniesionymi brwiami, jak gdyby chciała zapytać: „No i co, kiedy sobie wreszcie pójdziesz?” Uśmiechnął się.

- Pozwolisz, że zostanę jeszcze chwilę i popatrzę z tobą na ocean? Jest wyjątkowo piękna noc.

- Rób, co chcesz. - Wzruszyła ramionami. - Dalej się obawiasz, że jestem w samobójczym nastroju?

- Przyznaję, że taka myśl przyszła mi do głowy.

- Nie martw się, nie mam zamiaru rzucić się do wody. Nie dla pana Christophera Carlisle'a. - Zmarszczyła zabawnie nos i pokręciła głową. - Może dla ciebie, ale na pewno nie dla Chrisa.

- Chyba żartujesz.

- Brian! - roześmiała się. - Oczywiście, że żartuję. Wiesz co, jak na lekkoducha, za bardzo się przejmujesz. To ja powinnam teraz lamentować i bić się w piersi.

- Cassie, jeśli mogę sobie pozwolić na szczerość, po tym, co dzisiaj zrobiłaś, trudno się tobą nie przejmować.

Odwróciła się, żeby ukryć rozbawienie. Przez moment oboje patrzyli w milczeniu na rozbijające się o pomost fale.

- Nie zdawałem sobie sprawy - mruknął po chwili - że ta zatoka jest taka piękna.

- Nigdy wcześniej jej nie widziałeś?

- Nie tutaj. Byłem w Nowym Orleanie. Ten kawałek wybrzeża przypomina mi miejsce w południowej Kalifornii, gdzie często pływałem na desce.

- Wyglądasz na faceta, który uprawia surfing.

- A ty? Robiłaś to kiedyś?

- Spróbowałam ze dwa razy, kiedy byłam młodsza. Ale jak runęłam do wody na środku zatoki i zaczęłam się topić, dałam sobie spokój.

- Do tego potrzebna jest wytrwałość.

- I sporo odwagi. Chris mi opowiadał, że tobie jej nie brakuje - wspinaczki wysokogórskie, nurkowanie, spadochroniarstwo...

- Siedzi we mnie jakiś przewrotny demon, który kocha sporty ekstremalne. Moja mama, załamując ręce, powtarzała często, że prowokuję śmierć. Coś w tym musi być. Po raz pierwszy złamałem sobie rękę, kiedy miałem siedem lat.

- Po raz pierwszy...?

- Wypadek na deskorolce. To była prawa ręka. Kilka lat później, grając w hokeja, złamałem lewą w dwóch miejscach. Teraz gram na giełdzie - mam znajomych, którzy dorobili się od tego wrzodów żołądka, ale ja po prostu uwielbiam ryzyko.

Cassie zaśmiała się, pomyślawszy o Chrisie, który, przesiadując całymi dniami przy komputerze, albo robił kosztorysy swoich projektów wierceń, albo planował wykorzystanie ciężkiego sprzętu.

- Słuchaj, jak to możliwe, że ty i Chris pochodzicie z tej samej rodziny?

- Nie mam bladego pojęcia. Pamiętam, że kiedy miałem dziesięć lat, nasi rodzice wynajęli wspólnie letni dom w Nowym Meksyku. Ja chciałem wspinać się po skałach, a Chris siadał gdzieś u podnóża góry i nie dawał ruszyć się z miejsca.

- Cały Chris. On jest taki ostrożny i konserwatywny.

- A narzeczona Chrisa? - zapytał z kpiącym błyskiem w oczach. - Ty też jesteś konserwatywna?

- Zwykle tak. Ja i Chris mamy ze sobą wiele wspólnego. Wydawało się, że wszystko gra, że ułożyliśmy sobie jakoś życie, i nagle...

- I nagle co?

- Nie wiem... czasami coś mi odbija. Powiedzmy, że to zupełnie inna, bardziej impulsywna strona mojej natury. Zwykle udaje mi się nad nią panować, ale...

- Dzisiaj ci się nie udało.

- Boże, co ja zrobiłam? - jęknęła, spoglądając błagalnie w niebo. - Co ja zrobiłam?

Brian ujął ją za ramiona i delikatnie odwrócił do siebie.

- Cassie, dlaczego uciekłaś?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Ale komuś będziesz musiała powiedzieć - albo się zagryziesz. Cassie, wyrzuć to z siebie. Wiem tylko tyle, że Chris nie pozwoliłby ci na skoki bungy.

- Przestań... - potrząsnęła głową. - Jak mogłam palnąć coś tak idiotycznego? Miałam kompletną pustkę w głowie i powiedziałam pierwszą rzecz, jak przyszła mi na myśl. Zdarzyło ci się coś podobnego?

- Kilka razy, niestety. Musiała się roześmiać.

- Czy ty i Chris mieliście ostatnio jakieś problemy, pokłóciliście się? - spytał poważniej.

- Tak. Chris jest zaborczy i lubi mieć nad wszystkim kontrolę. Trzy miesiące temu wybuchła awantura, ale myślałam, że doszliśmy do porozumienia. A wiesz, o co poszło? Moja szkolna przyjaciółka była przejazdem w mieście i Chris ukrył przede mną, że dzwoniła z hotelu i nagrała się na automatyczną sekretarkę.

- Może zapomniał.

- Nie. Dowiedziałam się o wszystkim tydzień później, kiedy zawiedziona Stacy przysłała kartkę z pytaniem, czy Chris przekazał mi jej wiadomość.

Brian zagwizdał.

- Kiedy przycisnęłam go do muru, przyznał się, że celowo skasował nagranie, bo, według niego, Stacy ma na mnie zły wpływ.

- Zły... Chyba żartujesz!

- Faktem jest, że w college'u Stacy i ja często wpadałyśmy w tarapaty - przyznała. - Kiedyś o mało nas nie wyrzucili po tym, jak zaparkowałyśmy samochód naszej opiekunki w holu akademika.

- Niezły numer, ale to jeszcze nie daje Chrisowi prawa do decydowania, z kim masz się przyjaźnić.

- Właśnie. Najgorsze, że Stacy nie mogła przyjechać na nasz ślub i straciłyśmy jedyną szansę zobaczenia się, prawdopodobnie na kilka dobrych lat. Ale Chris mnie przeprosił, obiecując, że to się nigdy nie powtórzy. Potem wspaniałomyślnie pomógł mojemu ojcu wybrnąć z kłopotów finansowych - zawierając ze mną przy okazji cichą umowę, że nie odwołam ślubu.

- To paskudna manipulacja... - Brian wydawał się zażenowany - ...ale może on po prostu bał się ciebie utracić.

- Jeśli nawet, to i tak, jak się okazało, ani myślał dotrzymać obietnicy. Wczoraj po powrocie z rodzinnej kolacji przeszedł samego siebie - powiedział mi wprost, w jaki sposób zamierza mnie przerobić na idealną żonkę. Będę

musiała rzucić pracę, swoich starych przyjaciół i tak dalej. Resztę możesz sobie dośpiewać.

- A niech go... Facet chyba nie wie, co ma do stracenia. Więc dlatego uciekłaś?

- Tak. Chris złamał dane mi słowo. W końcu zdałam sobie sprawę, że próbowałam grać honorowo z człowiekiem, który jest bez honoru.

- Dlaczego jednak mam przeczucie... - Brian dotknął jej ręki - ...że jest coś jeszcze.

- Bo jest.

- Powiedz mi, Cassie.

- Nie mogę. Nie tobie.

- Dlaczego?

- Bo to ty jesteś powodem...

- Chodzi ci o to, że moje spóźnienie stało się powodem - takim kamykiem, który poruszył lawinę?

- Nie. Niezupełnie.

- Więc powiedz mi.

- Ale to czyste szaleństwo.

- Sam jestem trochę szalony. *Un poco loco*. Tak się mówi u was w Teksasie, prawda?

Zaśmiała się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Naprawdę myślisz, że sobie z tym poradzisz?

- Poradzę sobie ze wszystkim, nie bój się.

- A więc dobrze. To przez twoje niebieskie orliki.

- Moje co...?

- Polne kwiaty, które przysłałeś mi razem z wizytówką: „Ode mnie coś niebieskiego”. To było niesamowite. Taki ciepły, spontaniczny gest.

- Chcesz powiedzieć, że uciekłaś z własnego ślubu z powodu polnych kwiatów?

- Nie rozumiesz. To było jak znak. Nagle zdałam sobie sprawę, co tracę, czego nie ma i nigdy nie będzie między mną a Chrisem.

- Powiedzmy, że rozumiem. I to wszystko?

- Nie. To jeszcze nic...

- Więc mów dalej.

- Wolałbyś tego nie usłyszeć... - Nerwowym gestem splotła palce obu dłoni.

- Cassie, proszę cię, wytłumacz mi to do końca.

- Proszę bardzo. - Nabrała głęboko powietrza i wyrzuciła z siebie jednym tchem: - Musiałam uciec, bo wydarzyło się coś niepojętego. Jedna chwila. Spojrzałam przed siebie, zobaczyłam pewną twarz i zakochałam się.

- Zakochałaś się? - wydukał, nie próbując nawet ukryć zdumienia. - W Chrisie?

- Nie. - Na sekundę napiętej ciszy czas stanął w miejscu. - W tobie.

Brian z osłupiałą miną patrzył na nią bez słowa. W końcu odwrócił się, zaciskając drżące palce na poręczach pomostu.

- Miałaś rację, Cassie, trudno mi sobie z tym poradzić.

Wybuchła krótkim śmiechem. W zdumieniu i bezradności, które malowały się na twarzy Briana, było coś komicznego.

- Nie przejmuj się, jestem pewna, że to nic poważnego. Po prostu straciłam na moment głowę, ale to pozwoliło mi się obudzić i spojrzeć prawdzie w oczy - dzięki tobie zdałam sobie sprawę, że nigdy nie pokocham Chrisa. On się nie zmieni, nie przestanie być taki sztywny i apodyktyczny, nie zacznie chodzić po górach, nigdy nie pozwoli sobie na żadne spóźnienie po to, żeby nazrywać dla mnie kwiatów. Nagle perspektywa spędzenia z nim całego życia wydała mi się przerażająca. A jeśli chodzi o to, co czuję do ciebie... myślę, że dobry los cię sprowadził, żeby mnie uratować przed katastrofą. Tak naprawdę jestem pewna, że ludzie nie zakochują się tak szybko. - Przerwała, żeby złapać oddech. - To niemożliwe, prawda?

- Tak... - odpowiedział łamiącym się głosem. - To chyba niemożliwe.

Na początku Cassie nie miała nawet świadomości tego, że coraz bardziej się do siebie zbliżają. Po chwili była w ramionach Briana, ich usta połączyły się w namiętnym pocałunku i już nie była taka pewna, że miłość od pierwszego wejrzenia jest niemożliwa. Żar przeniknął jej ciało od głowy po czubki palców. Drżąc cała, owinęła ręce wokół jego szyi. Przygarnął ją mocniej i na chwilę zamarli w bezruchu.

Wreszcie oderwali się od siebie, patrząc oszołomieni jedno na drugie.

- Przepraszam - wymruczał Brian, przeczesując palcami włosy. - Nie mogę w to uwierzyć. To niemożliwe, że całuję narzeczoną Chrisa.

- Niemożliwe, że czuję do ciebie to, co czuję... - Uśmiechnęła się blado. - To szaleństwo, Brian. Ale podoba mi się.

- Cassie, ja... Sporo wypiałś i myślę, że powinniśmy się opanować, póki nie jest za późno.

Zawiedziona, wyciągnęła do niego rękę, ale poczuła, jak się wzdrygnął.

- Jesteś pewien, Brian?

- Och... tak, chyba tak - odpowiedział ze ściśniętym gardłem. - Rano moglibyśmy tego żałować, prawda?

- Pewnie masz rację.

- Już późno, pozwolisz, że odprowadzę cię na górę?

- Zgoda. A ty, jakie masz plany?

- Sam nie wiem - westchnął ciężko. - Może nie powinnaś być teraz sama?

Uniosła pytająco brwi.

- Czy w apartamencie Lisy jest jakaś kanapa?

- Jasne, trzy kanapy, jeśli dobrze pamiętam.

- Nie miałabyś nic przeciwko temu...

- Nie.

- No to chodźmy. - Objął ją ramieniem i ruszyli do hotelu.

- Wiesz co? - spytała szeptem.

- Co?

- Cieszę się, że tu jesteś... Au!

W głębi duszy Brian był zadowolony, że Cassie się potknęła, bo dzięki temu nie musiał jej odpowiedzieć.

- Hej, staraj się trzymać pion, koleżanko.

Cassie zamknęła oczy i oparła głowę na ramieniu Briana. Z jego ust wymknęło się błogie westchnienie.

Dopiero kiedy znaleźli się w hotelowej windzie, Cassie ocknęła się na dźwięk muzyki i skrzywiła z niesmakiem.

- O nie, tylko nie to!

- „Wreszcie kogoś znalazłam”? Streisand i Adams. To całkiem niezłe.

- Ulubiona piosenka Chrisa.

- Aha... Ale nie twoja.

- Już nie. Wysłuchałam jej z piętnaście razy w kościele, czekając na ostatniego drużbę.

- Ostatniego drużbę? - Brian stłumił śmiech.

- Tak nazywa cię moja bratanica Emily, dziewczynka, która sypała kwiaty.

- No tak, jej też podpadłem - mruknął posępnie.

Gdy wyszli z windy na korytarz, Cassie, nucąc piosenkę o miłości Barbry Streisand, wyjęła z kieszeni sukienki klucze i wręczyła je Brianowi. Otworzył posłusznie drzwi, wsunął do środka rękę, żeby zapalić światło, i gwizdnął z wrażenia.

- Twoja Lisa musi być nadziana.

- Uhm... - Cassie, walcząc z czkawką, zataczającym się krokiem ruszyła do sypialni. - Interesy naftowe. Odziedziczyła je.

- Hej... - Brian złapał ją w tali. - Poczekaj, zaprowadzę cię do łóżeczka.

- Ojej, czy ty nie jesteś księciem z bajki?

Przewracając oczami, otworzył drzwi do sypialni, zapalił następne światło i wciągnął Cassie do środka. Kiedy układał ją na łóżku, wciąż nuciła tę samą melodię. Pochyliwszy się, żeby zdjąć jej sandały, zauważył, jakie ma piękne stopy - lekko opalone i gładkie, z paznokciami pomalowanymi na różowo. Natychmiast odsunął od siebie niebezpieczne myśli, postawił buty na podłodze i okrył ją narzutą. Potem spojrzął na jej twarz. Przestała wreszcie nucić i przyglądała mu się rozanielonym wzrokiem. Boże, była zbyt piękna! Te wielkie zielone oczy kusily go, przyprawiając o łomot serca.

- Teraz już lepiej? - spytał opanowanym głosem.

- Taaak... Wiesz co, Brian? - Uśmiechnęła się kącikiem ust. - Jesteś niesamowity.

- Wiesz co, Cassie?

- Co?

- Jesteś diabolicą. Spadam stąd.

- To sobie spadaj. - Chichocząc, wskazała palcem łazienkę. - Poduszki i koce są w szafie z bielizną.

Kilka minut później Brian przewracał się z boku na bok na kanapie w salonie Lisy. Słyszał głośnie tykanie zegara na kominku i rozchukane morze. Serce biło mu równie niespokojnie.

W co on się wpakował... I pomyśleć, że jeszcze wczoraj dostawał gęsiej skórki na myśl o tym ślubie. Kolejny, nudny jak diabli, rodzinny spęd.

Dobre sobie. O Cassie Brandon można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest nudna. Zwykle to on był najbardziej zwariowany, niepoprawny, taki narwaniec, o którego wszyscy muszą się martwić. Ale ta kobieta, nie dość, że piękniejsza, niż to powinno być prawnie dozwolone, była fascynująca, nieobliczalna - a jednocześnie słodka, bezradna, zniewalająca swoim urokiem. Ciekawe, czy miała choć blade pojęcie, jak działa na faceta, mówiąc, że zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia?

Gdzie ten, Chris ją, u diabła, znalazł? Nie zasługiwał na taki skarb.

A on zasługiwał? To pytanie poraziło Briana. Było jak cios między oczy.

Co się z nim dzieje? Ta kobieta odebrała mu rozum. Przecież był tutaj po to, żeby pomóc swojemu kuzynowi - sprowadzić Cassie do Houston i uratować ich ślub. To prawda, że Chris sam sobie był winien, bo zachowywał się wobec niej jak drań, ale dostał już chyba za swoje.

A Cassie? Po prostu nie wytrzymała napięcia i puściły jej nerwy. Do jutra na pewno dojdzie do siebie, zobaczy wszystko w innym świetle, i będzie przerażona tym, co się wydarzyło na moło. Całe szczęście, że chociaż on zachował przytomność umysłu - przynajmniej na tyle, żeby nie wykorzystać jej w chwili słabości. Gdyby stało się inaczej, miałby od jutra dwoje dozgonnych wrogów - Cassie i Chrisa. Nie licząc samego siebie.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Rano Cassie obudziła się z niemiłosiernym bólem głowy. Usiadła skrzywiona, rozejrzała się po sypialni Lisy, potem odkryła ze zdziwieniem, że spała w sukience.

Wreszcie przypomniała sobie wszystko, i jęknęła rozpaczliwie. Uciekła z własnego ślubu... Zjawił się Brian, w pięć minut ją oczarował i namówił do zwierzeń. A potem - o zgrozo! - nie wiadomo jak znalazła się w jego ramionach, całowali się... Jak ona mu teraz spojrzy w twarz, nie mówiąc o Chrisie i wszystkich, których zawiodła?

Ostrożnie wstała i powlokła się do łazienki. Zerknąwszy z niesmakiem na swoje odbicie w lustrze, opłukała twarz zimną wodą i umyła zęby. Lekko drżącymi rękami wyszperała w apteczce aspirynę, połknęła dwie tabletki i wzięła prysznic.

Gdy po kilkunastu minutach weszła do skąpanego słońcem pokoju dziennego, jedynym śladem obecności Briana był zmierzwiony koc na kanapie i jego torba. Zapach świeżo parzonej kawy zwabił ją do kuchni.

- Dzień dobry. Cappuccino? - Nie czekając na odpowiedź, uśmiechnął się i podał jej filiżankę. - Jak twoja głowa?

- Nie pytaj.

- Może weźmiesz aspirynę?

- Już wzięłam, na razie bez efektu.

- A co byś powiedziała na pożywne śniadanko? - szarmanckim gestem zaprosił ją do małego stołu przy oknie.

- Chyba mnie rozpieszczasz. - Cassie zachwiała się w pół drogi i złapała za czoło. - Oj, zdaje się, że nie mam mocnej głowy.

- Zauważyłem. - Wziął ją delikatnie pod rękę i usadowił na krześle. - Po dwóch szprycerach byłaś na niezłym rauszu.

- Dzięki. - Uśmiechnęła się zuchwale, maskując wrażenie, jakie zrobił na niej dotyk jego dłoni i zapach wody kolońskiej. - O rany, sok pomarańczowy i angielskie bułeczki. Więc umiesz też kucharzyć.

- Umiem wyjąć z lodówki puszkę soku i opakowanie angielskich bułeczek, a nawet używać tosteru i ekspresu do kawy.

- Twoje zdrowie. - Wypiła łyk soku, potem przez chwilę jedli w milczeniu. W końcu Cassie znacząco chrząknęła. - Brian, jeśli chodzi o wczorajszy wieczór...

- Nie musisz mi tłumaczyć.

- Nie?

- Rozumiem, dlaczego tak się to pogmatwało. Byłaś roztrzęsiona, miałaś swoje powody, bo Chris rzeczywiście zachował się jak ostatni drań. Potem ja zjawilem się spóźniony i dolałem oliwy do ognia. Więc całkiem puściły ci nerwy, prawda? Ale to nie znaczy, że ty i Chris nie możecie się porozumieć. Jestem pewien, że on w tej chwili żałuje swojej głupoty. Powinnaś do niego zadzwonić, skoro już trochę ochłonęłaś i widzisz wszystko jaśniej. Mam rację?

- Nie masz - westchnęła cicho.

- Nie mam?

- Brian, masz rację, że teraz widzę wszystko jaśniej. Jestem przekonana bardziej niż kiedykolwiek, że Chris nie jest dla mnie odpowiednim mężczyzną. Może dlatego, że jest zbyt zaborczy, a ja zdałam sobie w końcu sprawę, że on się nigdy nie zmieni. Może naprawdę chciałam się uwolnić. Ale z drugiej strony... - Wzięła głęboki, uspokajający oddech. - Pamiętasz, co wczoraj powiedziałam? Że... że wydaje mi się, że jestem zakochana w tobie. Brian skinął tylko głową.

- A wyobraź sobie, że do wczoraj uważałam się za najrozsądniejszą osobę pod słońcem. Ale jeśli stać mnie na takie szaleństwo, to znaczy, że nie jestem gotowa wyjść za Chrisa... ani za nikogo innego.

Przez moment Brian był wyraźnie zakłopotany. Potem zmarszczył brwi, wstał od stołu i zaczął chodzić tam i z powrotem.

- Cassie, proszę cię, nie bądź w gorącej wodzie kąpana. Wiem, że Chris nadwreżył twoją cierpliwość, ale on ma swoje zalety...

- Myślisz, że o tym nie wiem? On po prostu nie jest dla mnie.

- Do wczoraj wydawał się idealny...

- Tak, i oboje wiemy, co wydarzyło się wczoraj - zakończyła oschłym tonem.

- Cassie... - Po chwili napiętego milczenia Brian zakasłał i odwrócił wzrok. - Jestem pewien, że jeśli trochę sfiksowałaś na moim punkcie, to tylko dlatego, że wpadłaś w panikę przed ślubem, może bałaś się wiązać z Chrisem. Zobaczysz, że jeśli dasz sobie trochę czasu, oprzytomniejesz i...

- Brian, ja już oprzytomniałam. Posłuchaj, zrobiłeś dobry uczynek, próbowałaś nam pomóc, ale to niemożliwe.

- To moja wina...

- Nie, nie twoja. - Teraz Cassie zaczęła chodzić z założonymi rękami po kuchni. - Szczerze mówiąc, po wczorajszym wieczorze przeżywam poważny kryzys tożsamości. Chyba przestałam lubić samą siebie i potrzebuję trochę czasu, żeby się pozbierać. Nie wiem... muszę poukładać sobie wszystko w głowie, zdecydować, jaka ja właściwie jestem. Czy naprawdę zrównoważona i rozsądna? Czy powinnam spędzić życie z kimś tak poważnym jak Chris? Zresztą nie chodzi tylko o Chrisa. W głębi duszy przeraża mnie chyba sama myśl o małżeństwie. Kiedyś, w ostatniej klasie liceum, uciekłam z balu szkolnego, bo dowiedziałam się od swojej najlepszej przyjaciółki, że mój chłopak ma zamiar publicznie mi się oświadczyć - po raz drugi albo trzeci.

- Ale to zupełnie co innego. Wczoraj uciekłaś po tym, jak powiedziałaś już „tak”.

- Dzięki za przypomnienie!

- Cassie, może ty po prostu boisz się zobowiązań. To by było coś, co nas łączy... I myślę, że mógłbym ci pomóc sobie z tym poradzić.

- To znaczy, mógłbyś mnie przekonać, żebym wróciła do Chrisa? Nic z tego, Brian. Chris i ja nie mamy przed sobą żadnej przyszłości. Skończony rozdział.

- Jesteś pewna? - Brian wyglądał na zmartwionego.

- Tak.

- Więc co będziesz teraz robić, Cassie?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Mam tydzień urlopu. Może zostanę tutaj i pomyślę, co dalej. Wiem, że muszę zadzwonić do kilku osób z przeprosinami, ale nie wyobrażam sobie na razie powrotu do Houston.

- Cassie, czy mógłbym z tobą zostać? - Dotknął jej ramienia. - Chciałbym ci jakoś pomóc...

- Brian... - Rzuciła mu karcące spojrzenie. - Po wczorajszej nocy? Kogo ty oszukujesz?

Miała wrażenie, że zaczerwieniły mu się policzki. Odwróciła na chwilę wzrok i zaczęła łagodniejszym głosem:

- Jesteś czarującym facetem, wiesz o tym. Ale moja babcia mawiała, że zawiedziona kobieta jest niebezpiecznym stworzeniem... i łatwo może popełnić wielki błąd.

- Więc uważasz, że spędzenie ze mną kilku dni byłoby błędem?

- To nie jest odpowiedni moment. Wiem, że chcesz mi pomóc, ale to tylko skomplikowałoby sytuację.

- Trudno - westchnął i rzuciwszy Cassie ostatnie, powłóczyście spojrzenie, wrócił do stołu, żeby dolać im kawy.

Kwadrans później, zjeżdżając windą na parter, Brian wył z żalu, zaciskając kurczowo palce na uchwycie torby. Rozstali się po kilku nieporadnych słowach pożegnania i ostatnim niewinnym pocałunku. I dobrze się stało, tłumaczył sobie. Najlepsza rzecz, jaką mogli zrobić.

Musiał stąd uciec, jak najdalej od niej. Bo Cassie Brandon doprowadzała go do szaleństwa. Nigdy nie spotkał podobnej kobiety. Była fascynująca, nieobliczalna i bystra - zbyt bystra. Przejrzała go na wylot i знаła, oczywiście, prawdziwy powód, dla którego chciał z nią zostać - mający niewiele wspólnego z altruizmem.

Niech to szlag... Musiałby być samobójcą, żeby łązić za nią przez tydzień jak cień, narażać się na ciągłą pokusę, słuchać jej śmiechu i żartów, może nawet oglądać pływającą się w morzu w bikini! I wszystko pod pretekstem, że pomaga Chrisowi? Oblęd!

Otworzyła się winda i Brian, z uczuciem rozpaczliwej pustki, przemaszerował przez hol do wyjścia. Zawahał się w pół kroku, tuż przed drzwiami.

Nie powinien. Nie mógł sobie pozwolić na działanie pod wpływem impulsu. To nie był odpowiedni czas.

Zbliżało się południe, kiedy Cassie zjechała windą do głównego holu. Najpierw wściekała się na siebie za odesłanie Briana, chociaż zdawała sobie sprawę, że gdyby pozwoliła mu zostać, sprawy skomplikowałyby się jeszcze bardziej. Wróciła do łóżka na krótką drzemkę, potem wykąpała się i w końcu zebrała się na odwagę, żeby zadzwonić do rodziców i do Chrisa z przeprosinami. Kiedy jej ojciec powiedział: „Skarbie, nie martw się, tak jak ci powiedziałem w kościele, chcemy, żebyś była szczęśliwa”, o mało się nie rozszlochała.

Następna była Lisa, której musiała odpowiedzieć na kilkanaście pytań, zanim nieśmiało spytała, czy może zostać na tydzień w jej apartamencie. „Jasne, odpoczywaj i rób, co chcesz!”, usłyszała od przyjaciółki.

Rozmowa z Chrisem była najtrudniejsza i okropnie niezręczna. Przeprosiła za postawienie go w kłopotliwej sytuacji, za to, że nie odwołała wcześniej ślubu - mimo wszystkich nieporozumień, zasłużył na coś lepszego. Oczywiście zapytał, dlaczego to zrobiła. Z powodu ostatniej kłótni? Z tego i z

wielu innych, odpowiedziała. I że nie ma sensu tego roztrząsać, bo jej decyzja jest ostateczna.

Teraz czuła się jak zbity pies. I nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

Zapach jedzenia zwabił ją do restauracji. Wyszła na patio, gdzie przy kilku stolikach osłoniętych parasolami goście jedli lunch. Przed wejściem na molo nagle zwolniła i otworzyła szeroko oczy. Spojrzała jeszcze raz... i jeszcze raz.

Niemożliwe! Mężczyzna, siedzący przy najdalszym stoliku, na końcu pomostu, nie mógł być Brianem.

A jednak to był on. W białych spodniach, zielonej koszuli w stylu hawajskim i w bardzo gustownych okularach przeciwsłonecznych. Popijał margaritę, wyraźnie na kogoś czekając, bo przy drugim nakryciu stała już identyczna, pełna szklanka!

- Czym mogę służyć, *miss*?

- Dziękuję... - Speszona, odwróciła się do kelnera. - Chyba widzę osobę, z którą się umówiłam.

- Ach tak, bardzo proszę. - Kelner wskazał stolik Briana.

Z bijącym sercem ruszyła przed siebie. Brian zauważył ją, rozchylił usta w promiennym uśmiechu i zerwał się z miejsca, odstawivszy przedtem szklankę.

- Brian, co ty, do diabła...

- Cześć, Cassie. - Odsunął jej szybko krzesło. - Wiesz, że jedną z rzeczy, które naprawdę lubię w Teksasie, jest meksykańska kuchnia.

- Brian, co ty tu robisz?!

- Musisz coś zjeść, Cassie. Usiądź i spróbuj margarity. Jest świetna.

- Mam pić, po wczorajszej nocy? - Opadła zrezygnowana na krzesło.

- Jasne, nie ma to jak dobry klin - odpowiedział wesoło.

- Co ty tu robisz?

- Och... ćwiczę spontaniczność.

- Co???

- Naprawdę myślałaś, że wyjadę, nie pochwaliwszy się impulsywną stroną mojej natury?

Zaniemówiła na kilka sekund.

- Skąd wiedziałeś, że tu przyjdę?

- Nie słyszałaś, że przestępca zawsze wraca na miejsce zbrodni?

Rzuciła w niego serwetką i poczekała, aż przestanie chichotać.

- No dobrze, koniec żartów. Co ty knujesz?

- Ja? - Odrzucił jej serwetkę i eleganckim ruchem rozłożył swoją. -

Właśnie wynająłem pokój w uroczym pensjonacie o nazwie Stara Chata,

- Co zrobiłeś?

- Cassie... - Brian w końcu spoważniał. - Ja też mam tydzień urlopu. Nie czułbym się dobrze, gdybym zostawił cię teraz samą. Chciałbym zostać i pomóc ci z tego jakoś wybrnąć.

- Nie pamiętasz, co powiedziałam?

- Pamiętam, ale nadal myślę, że jestem ci tutaj potrzebny.

- Każdy facet opowiada takie rzeczy dziewczynie, zanim zacznie się do niej przystawiać.

- Cassie... - Utkwił w niej twarde spojrzenie. - Ja po prostu nie mogę wyjechać.

Dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Ale dlaczego? Wy tłumacz mi to bez wykrętów.

- Nie tylko ty zostałaś zmuszona do zastanowienia się nad sobą. Ja też zrobiłem rachunek sumienia. Gdyby ktoś mi powiedział, że jestem egocentrykiem, nie miałbym nic na swoją obronę. Zawsze myślałem przede wszystkim o sobie. Ostatni wieczór brutalnie mi to uświadomił.

- I co? Jaki to ma związek ze mną?

- Choć raz w życiu chciałbym spróbować zrobić coś... sensownego. A wydaje mi się, że mógłbym ci pomóc.

- W jaki sposób, Brian? - spytała ze ściśniętym gardłem.

- Wczoraj wyprowadziło cię z równowagi to, że nagle poczułaś coś do mnie. A teraz się boisz, że diabeł, którego masz za skórą, zawładnie całym twoim życiem, tak? I próbujesz zdecydować, jaka naprawdę jesteś - rozsądna, jak ci się do tej pory wydawało, czy impulsywna i nieobliczalna.

- Powiedzmy...

- Więc musisz spędzić trochę czasu ze mną.

- Słucham? - wybuchnęła śmiechem.

- Cassie, o mnie mówią, że jestem najbardziej zwariowanym facetem pod słońcem. Nie chcę się przechwalać, ale coś w tym jest. Pobądź ze mną kilka dni, a przekonasz się, że nie mogłabyś być szczęśliwa, żyjąc na wariackich papierach, tak lekkomyślnie jak ja, albo z kimś takim jak ja.

- Chyba żartujesz.

- Nie, ani trochę. Cassie, to ja wpakowałem cię w tarapaty i mam zamiar cię z nich wyciągnąć.

- Brian, w nic mnie nie wpakowałeś...

- W każdym razie upieram się, żeby tu zostać. Naprawdę chcesz mnie zmusić do wyjazdu?

- Cwaniaczek z ciebie - powiedziała z rozbawieniem w głosie.

- Więc zgadzasz się?

- Brian, spójrz na to z mojej perspektywy. Ja po prostu" nie dowierzam swoim uczuciom. Wczoraj porzuciłam Chrisa i... nie wiem, może to, że odbiło mi na twoim punkcie, jest tylko odreagowaniem przeżytego zawodu...

- Cassie, mniej więcej to samo chciałem powiedzieć. Nie wydaje ci się, że gwałtowne uczucia od pierwszego wejrzenia na ogół szybko się wypalają?

- Mówisz z własnego doświadczenia?

- Naoglądałem się oper mydlanych - zażartował wymijająco, ale natychmiast spoważniał. - Jeżeli to, co do mnie czujesz, jest tylko przelotnym oczarowaniem, wkrótce czar pryśnie. Można się o tym w prosty sposób

przekonać. Czy nie moglibyśmy spędzić tego tygodnia razem - mieszkałbym oczywiście u siebie - i lepiej się poznać?

- I co by to dało? Ty masz swoje życie w Denver i nie słyszałam, żebyś chciał się ze mną wiązać.

- Właśnie na tym polega urok mojego planu. Zdarzało mi się spotykać z takimi dziewczynami jak ty i zawsze doprowadzałem je do szału. Tydzień ze mną, i przysięgam, że będziesz marzyła o spędzeniu reszty życia z takim niezawodnym facetem jak Chris. Poznasz wszystkie moje wady...

- Na przykład jakie?

- Jestem narwańcem i nałogowym ryzykantem. - Zaczął liczyć na palcach.
- Ciągłe szukam guza. Jestem potwornym bałaganiarzem. Nie potrafię być długo z jedną kobietą. Mam świra na punkcie sportu i nikt nie jest w stanie odciągnąć mnie od mistrzostw...

Cassie zanosła się głośnym śmiechem.

- Co cię tak rozbawiło?

- Ty!

- Ale to wszystko prawda. Na dodatek zupełnie mnie nie pociąga myśl o małżeństwie. Zobaczysz, jeden tydzień i będziesz gotowa mnie zastrzelić.

- A jeśli to nie zadziała?

- Jak to?

Pochyliła się nad stolikiem i spojrzała mu w oczy - takie niebieskie. I nagle tak chłopięco bezradne.

- Skutek może być odwrotny - szepnęła. - Co będzie, jeśli nie przekonasz mnie, żebym wróciła do Chrisa? A jeśli się w tobie naprawdę zakocham?

- We mnie...? - Wstrzymał oddech.

- Słyszałeś.

- A ty słyszałaś, że nie nadaję się do małżeństwa?

- Tak.

- Więc... jeśli się w sobie zakochamy, będę musiał wrócić do Denver ze złamanym sercem. A ty... - uśmiechnął się krzywo. - Ty oczywiście pójdziesz do klasztoru.

- Wiesz co? - Cassie, chichocząc, pokręciła głową. - Jesteś zwyczajnym świrem!

- Ja??? Tak mnie skołowałaś, że po raz pierwszy zachowuję się rozsądnie. Więc układ stoi?

- Nie wiem, dlaczego mam wrażenie, że układ stoi - bez względu na to, czy mi się to podoba, czy nie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Brian, to jest fantastyczne. To jest... Aaaaaau!

Kilka godzin później Cassie i Brian pędzili na deskorolkach promenadą na falochronie, oboje w kombinezonach z lycry, wyposażeni we wszystkie możliwe ochraniacze i kaski na głowę. Skręciwszy gwałtownie, żeby uniknąć zderzenia z czteroosobowym rowerem, wpadli na kiosk z mrożonym sorbetem. Brian wyhamował przed krzyczącą ze strachu Cassie, wykonał błyskawiczny obrót i chwycił ją oburącz, ale nie zdołał utrzymać równowagi i uderzył plecami o ścianę kiosku.

- Nic ci nie jest?

Cassie z trudem złapała oddech. Otoczona mocnymi ramionami Briana, patrząc w jego cudowne niebieskie oczy, zastanawiała się smętnie, która strona jej natury powinna teraz zwyciężyć. Gdyby uległa tej impulsywnej, przytuliłaby się do niego i zatraciła w szalonym pocałunku.

- Nie, wszystko w porządku. - Zmusiła usta do beztróskiego uśmiechu. - Ale trzeba mieć jednak nie po kolei w głowie, żeby jeździć na deskorolkach po

falochronie. Zobacz, jaka ta ściana jest stroma. W żadnym razie nie chciałabym stąd spaść.

- Spokojnie, ze mną nic ci nie grozi!

- Och, widzę, że jesteś nie tylko odważny, ale i skromny - zadrwiła.

- Oczywiście - odpowiedział z rozbawioną miną. - Hej, lepiej popatrz na te grzywacze. Gdyby taka fala się utrzymała, moglibyśmy pożyczyć deski.

- Żartujesz? Surfing po deskorolkach? To jak z deszczu pod rynną.

- Mam lepszy pomysł... - Zmrużył zawadiacko oczy. - Surfing na deskorolkach.

- Czubek!

- Uosobienie rozsądku! Jeśli nie masz ochoty na surfing, możemy iść popływać.

- Teraz?

- Rozumiem, że propozycja morskiej kąpieli może być szokująca dla zatwardziałej konserwatystki, która wciąż w tobie siedzi, ale obiecuję, że pomogę ci się przemóc.

- Odczepisz się ode mnie? - mruknęła groźnie, powstrzymując śmiech.

- Proponuję mrożony sorbet dla ochłody, a potem pójdziemy się przebrać, zgoda?

Zrobiła skonsternowaną minę. Nie była przekonana, czy baraszkowanie z Brianem na plaży, w skąpym kostiumie kąpielowym, jest najszcześniejszym pomysłem.

- Nie dość masz wrażeń na jedno popołudnie? - spytała, kiedy wrócił z dwiema szklankami lodowatego napoju.

- Chodzi ci o wrażenia estetyczne? - Uniósł prowokująco brwi.

- Brian, napraszasz się...

- To znaczy, że nie chcesz ze mną popływać?

- Jest... pewien problem - moje bikini.

- Twoje bikini? - spytał rozpromieniony. - Nie chcesz, żebym oglądał cię w bikini? W takim razie będę nalegał.

- Brian, to nie to, o czym myślisz. Nie jestem aż tak skromna.

- Więc o co chodzi?

- Kupiłam ten kostium dla Chrisa i, rozumiesz chyba, wszystkie wspomnienia...

- Nowiutki kostium ma jakieś wspomnienia?

- Pomyśl przez chwilę. Kupiłam go... na nasz miesiąc miodowy.

- Aha. Ale dalej nie rozumiem. Cassie, czy coś cię niepokoi? - Brian nagle spoważniał. - Masz wątpliwości, czy powinniśmy tu razem być?

- Nie. Tak. Po prostu czuję się niewesoło. Nie mówiłam ci o tym, ale rano, po twoim wyjściu, zadzwoniłam do rodziców i do Chrisa.

- Aha. I jak poszło?

- Strasznie mi było głupio. Rodzice udawali, że nic się nie stało. A Chris błagał mnie, żebym się jeszcze zastanowiła. Ale powiedziałam mu, że wszystko skończone.

- Czy naprawdę tak czujesz - spytał ostrożnie - że wszystko skończone i nie chcesz tego przemyśleć?

- Tak. To nie jest odpowiedź, którą chciałeś usłyszeć, prawda?

- Ze względu na Chrisa, nie. A jeśli chodzi o mnie... chyba będę musiał odmówić zeznań.

- Zawsze jest przykro, kiedy między dwojgiem ludzi przestaje się układać, ale dla mnie smutne jest zwłaszcza to, że oboje, Chris i ja, włożyliśmy tyle serca i straciliśmy tyle czasu na coś, co od początku było skazane na klęskę.

- Jesteś tego pewna?

- Tak.

- Więc co robi dziewczyna, kiedy jest smutna? - westchnął zrezygnowany.

- Idzie na zakupy! - Cassie natychmiast się rozpromieniła. - Chcesz, żebym dopuściła do głosu bardziej żywiołową stronę swojej natury, tak? Proszę

bardzo. Mamy tu spędzić tydzień i byłoby głupotą ani razu nie popływać. Więc kupię sobie po prostu nowe bikini. Na Strandzie jest kilka fantastycznych butików.

- I będę mógł ci pomóc wybrać najlepszy model?

- Nie ma mowy, żadnego podglądania! Jeśli chcesz iść ze mną popływać, będziesz musiał czekać cierpliwie, aż coś wybiorę.

- Cierpliwie... - jęknął. - Nie wiem, czy takie słowo jest w moim słowniku.

- Jeśli wolisz, pójdę sama na zakupy, a ty możesz szaleć na deskorolce do zachodu słońca.

- Nic z tego! Żaden pełnokrwisty Amerykanin nie oparłby się przyjemności kupowania bikini z piękną damą. - Śmiejąc się, podał jej rękę. - Jak mówią tutaj, w Teksasie, ulatniamy się i kurs na Strand, partnerze.

- Brian, ty jesteś równie teksański jak niedźwiedź polarny.

- Zabierzesz misia na Strand? - zapiszczał dziecięcym głosem.

- Spadaj!

- Spadamy razem, Cassie. Uważaj na rowerzystów!

Dwie godziny później, w małym ekskluzywnym butikiu na staromiejskim bulwarze Galveston Strand, Brian siedział na krześle, spoglądając przygasłym wzrokiem to na zegarek, to na dwie wielkie torby z zakupami, które poczyniła Cassie. W jednej z nich był kostium bikini, którego nie zgodziła się, niestety, pokazać na sobie.

Co najmniej dwadzieścia minut temu zniknęła w przymierzalni, a on był na granicy wytrzymałości. Cierpliwość rzeczywiście nie była mocnym punktem jego charakteru. Z drugiej strony, dlaczego każda wyprawa po zakupy z kobietą staje się gehenną? Dlaczego taka Cassie nie mogłaby kupić kostiumu kąpielowego, po który się wybrała, i dać sobie spokój? Bo wrócić do domu z jednym małym ciuszkiem to widocznie żadna przyjemność. Taki kostium wymaga oprawy - sandałów na plażę, szortów, bluzek... najlepiej całej

nowiutkiej szafy ubrań. Niewykluczone, że skończy się na sukni od Givenchy'ego i futrze.

Czysty obłęd... Brian spojrział jeszcze raz na zegarek. Nawet nie widział tego cholernego bikini. Zerknąwszy przez ramię na drzwi przymierzami, nie dostrzegł żadnych oznak życia i doszedł do wniosku, że nie jest w stanie oprzeć się dłużej pokusie. Schylił się, pomyszkował w torbach i wyjął maleńki kostium z ogromną metką.

Gwizdnął z wrażenia. Czterdzieści dolców za te maleńkie skrawki materiału. Fakt, że Cassie ma gust, pomyślał. Egzotyczne kwiaty w intensywnych odcieniach różu cieszyły wzrok. Górna część składała się z pary kształtnych miseczek, dolna - z dwóch trójkątów połączonych paseczkami szerokości spaghetti. Mimowolnie wyobraził sobie w tym czymś Cassie - jej piękne nogi, ramiona, płaski brzuch i...

- Mister, to jest tamtej pani, nie wolno zaglądać do cudzych toreb - usłyszał oburzony dziecięcy głos.

Podniósł głowę i zobaczył stojącą obok małą dziewczynkę z końskim ogonem. Zmarszczyła czoło i pogroziła mu palcem, a Brian, udając przerażenie, upuścił kostium i przycisnął rękę do serca.

- Madame, ma pani słuszność. Złapała mnie pani na gorącym uczynku. Proszę mnie nie wydać!

Mała pisnęła radośnie i pobiegła do swojej matki.

Brian zachichotał. Zawsze lubił dzieci. Może nawet lubił je za bardzo. Na wszystkich spotkaniach towarzyskich, gdzie były dzieci, to on grał z chłopcami w piłkę albo czytał dziewczynkom bajki. Potrafił nawet uspokajać płaczące niemowlęta. Jego przyjaciele często żartowali, że ma takie dobre podejście do dzieci, bo sam jest przerośniętym dzieckiem.

Ale on wiedział lepiej. W głębi duszy marzył, żeby zostać kiedyś ojcem.

Oczywiście świadomość tego, że najpierw musiałby znaleźć właściwą kobietę, ustabilizować się i ożenić, była niewygodna. W towarzystwie Cassie -

zaczęła być niemal dręcząca. Z pewnością dlatego jego myśli błądziły uporczywie wokół domowego ogniska, choć - zważywszy na cel jego przyjazdu do Galveston - nie powinien sobie na to pozwalać.

Jęknął bezgłośnie, kiedy przypomniał sobie zderzenie na deskorolkach. Jej fizyczna bliskość była torturą - jej zapach, wyczekujące spojrzenie, zakłopotany uśmiech.

Nie minął pierwszy dzień ich wspólnego tygodnia, a już było wiadomo, że jego mistrzowski plan nie działa tak gładko, jak sobie to wyobrażał. Cassie nie miała zamiaru wrócić do Chrisa, a wiedząc, jak jego kuzyn ją traktował, Brian nie potrafił jej za to winić.

- Brian, co o tym myślisz?

Na dźwięk jej aksamitnego głosu podskoczył na krześle.

Zobaczył, jak wyłania się z przymierzalni w białej wąskiej minisukience bez rękawów, z łódkowatym dekoltem odsłaniającym ramiona.

Nieprawdopodobne... Miała tak doskonale nogi, jak sobie wyobrażał - długie, smukłe, opalone. Z wrażenia wstrzymał oddech, a potem uśmiechnął się kpiąco.

- Więc jesteśmy przy sukienkach? Co dalej? Kombinezony narciarskie?

- Brian, bądź poważny! - zaśmiała się i spojrzała w lustro za jego plecami.

- Ta kiecka jest naprawdę niezła. Podoba ci się?

- Uhm... tak, może być.

- Mogłabym w niej pójść na...

- Dzisiejszą kolację?

- Właśnie. Dlaczego by nie? Musimy coś zjeść.

- Cassie... - Brian miał ochotę zawyć. - Skończyłaś już?

- Nie lubisz robić zakupów?

- Nie lubię robić z tego nabożeństwa.

- Nabożeństwa? Jesteśmy tu raptem...

- Od dwóch godzin, czternastu minut i trzydziestu siedmiu sekund.

- Oho, widzę, że naprawdę tego nie lubisz.

- Może po prostu jestem zawiedziony, że nie widziałem cię w tym bikini.
- Przecież nie mogłam wparadować w kostiumie na środek sklepu!
- Dlaczego by nie? Nie znam nikogo, kto potrafiłby to zrobić lepiej od ciebie.
- Nie znoszę wywoływać skandali - oświadczyła afektowanym tonem.
- To jedyny powód, Cassie?
- Kobiety lubią mieć swoje tajemnice.
- To prawda... - mruknął, znowu spoglądając na zegarek. - Robi się późno. Zdaje się, że będziemy zmuszeni odłożyć pływanie na jutro.
- Zgoda. Wiesz co, zaczynam umierać z głodu. Przebiorę się tylko i zapłacę za sukienkę.
- Dobra, nareszcie zaczynasz mówić z sensem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Brian, czy ty tęsknisz za pracą?
- Siedzieli sobie w portowej knajpcie, jedli panierowane krewetki i surówkę z kapusty, spoglądając przez okno na czerwono zachodzące słońce i stada mew krążące nad zacumowanymi łodziami rybackimi.
- Brian był tego wieczoru niezwykle wyciszony i Cassie uznała, że pora wyjaśnić przyczynę jego nastroju.
- Skąd ci przyszło do głowy, że tęsknię za pracą? - Rzucił jej zakłopotane spojrzenie i pociągnął łyk piwa.
 - Prawie na mnie nie patrzysz, bębnisz palcami w stoi... Nie smakuje ci jedzenie?
 - Jest pyszne, bardzo świeże.
 - Ty chyba źle znosisz bezczynność.

- Cassie - zaśmiał się - ja nigdy nie jestem beczynny. Za to, między innymi, lubię swoją pracę - sytuacja na światowych giełdach ciągle się zmienia, nowe wyzwania, nowe decyzje. Ani na chwilę nie można przestać myśleć, jak najlepiej zainwestować pieniądze klientów.

- I tego ci brakuje?

- Praca nie przeszkadza mi w życiu, ale nie jestem pracoholikiem, jeśli to masz na myśli.

- Ale teraz jesteś znudzony.

- Nie powiedziałem, że jestem znudzony. - Niespodziewany figlarny błysk pojawił się w jego oczach. - Może spięty, ale na pewno nie znudzony.

Patrzyli na siebie w napiętym milczeniu.

- Więc dlaczego jesteś spięty? - Odważyła się w końcu zapytać.

- Znowu muszę skorzystać z prawa do odmowy zeznań.

- A co zwykle robisz, żeby się rozluźnić? - Uśmiechnęła się rozbijająco.

Brian uniósł znacząco brwi.

- Poproszę o wersję „bez ograniczeń wieku”.

- Och... Przede wszystkim mam swoje góry. Czasami wychodzę wcześniej z pracy, pakuję sprzęt do dzipa, zabieram kumpla, który wspina się ze mną od lat, i jedziemy w Góry Skaliste popatrzeć na zachód słońca z jakiejś przełęczy.

- Brzmi pięknie. Ale czy to nie jest niebezpieczne?

- Może być cholernie niebezpieczne, jeśli człowiek nie ma doświadczenia, dobrej kondycji albo jest zbyt pewny siebie.

- Albo niecierpliwy.

- W górach nie ma o tym mowy, Cassie. Wspinaczka jest takim sportem, w którym nigdy nie jest się przesadnie ostrożnym. Właśnie dlatego spóźniłem się na twój ślub. Złapała mnie burza i musiałem ją przeczekać.

- Złapała cię burza, bo poszedłeś nazrywać dla mnie orlików. Nigdy ich nie zapomnę... Ale co jeszcze robisz, kiedy jesteś spięty albo zmęczony?

- Dlaczego coś mi mówi, że to następne podchwytliwe pytanie?

- Brian, jesteś zbyt podejrzliwy. - Poczula, że krew napływa jej do twarzy.

- Czyżby?

- No dobrze. Przyznaję się do winy. Spotykasz się z dziewczynami?

- Ostatnia rzuciła mnie kilka tygodni temu. Spędziliśmy weekend w wysokich górach i okazało się, że fatalnie to zniosła.

- Może miała trudności z oddychaniem? - Cassie zachichotała.

- Owszem. Poza tym nie przypadły jej do gustu zbyt przyjacielskie pręgowce, które próbowały towarzyszyć nam przy posiłkach, a kiedy temperatura spadła poniżej zera i zamarzała nam woda do picia, wpadła w histerię.

- Co ciebie pociąga w takich wyprawach? Ryzyko, dreszczyk emocji?

- Widok wschodzącego nad górami słońca. Szelest osiki. Picie wody prosto ze strumienia. Tylko w górach czujesz, że jesteś tak blisko nieba.

- Wierzę ci - powiedziała bez cienia ironii w głosie.

- A ty, Cassie?

- Co ja?

- Dałem się grzecznie przesłuchać, więc teraz twoja kolej. Co robisz w wolnym czasie, dla przyjemności?

- Na pewno nie jestem zapalonym wędrowcem - jeśli o to pytasz. A moje hobby? Czy ja wiem? Lubię czytać, chodzić do kina, do teatru, na koncerty... Umiem szyć, jak na amatorkę nawet całkiem nieźle.

- Urodzony mieszcuch.

- Mieszczuchy lubią szyć? - zaprotestowała.

- No nie, raczej łązić po sklepach. Zwracam honor.

- Poza tym moja mama jest miłośniczką antyków i trochę mnie tym zaraziła. Często podróżowałam z nią po Teksasie, i innych południowych stanach, w poszukiwaniu ciekawych staroci. Sama też zdobyłam kilka ładnych drobiazgów.

- O, Boże! - Brian splótł dłonie. - Urodzona turystka i zakupoholiczka.

Powinienem się domyślić już po południu.

- Brian, napraszasz się! - ostrzegła.

- W porządku! - wybuchnął śmiechem. - Dosyć na temat hobby. Tęsknisz za swoją pracą?

- Niespecjalnie. Agencja reklamowa to straszny młyn. Tak jak ty staram się zadowolić swoich klientów. Jestem systematyczna i dokładna.

- Jasne. Szycie tego wymaga.

- Brian!

- Spokojnie, Cassie. Podoba mi się to szycie. Ale przerwałem ci...

Mówiłaś o swojej pracy.

- Właśnie. Na szczęście nie jestem od wymyślania całych kampanii reklamowych. Mamy do tego copywriterów i różnych twórczych ludzi.

- Mnie wydajesz się bardzo twórczą osobą. Roześmiała się, a potem nagle spoważniała.

- Rzeczywiście, trzeba mieć sporo wyobraźni, żeby zerwać w ten sposób z narzeczonym.

- Skończyłaś jeść? - zapytał po chwili kłopotliwego milczenia.

- Tak, oczywiście.

- Masz ochotę na deser?

- Żartujesz? Ledwo dyszę.

- W takim razie chodźmy na spacer.

- Zgoda.

Powędrowali promenadą wiodącą wzdłuż nadbrzeża portowego ku wschodniej części miasta. Brian starał się nie patrzeć na Cassie, wyglądającą tak pięknie w złotawym, miękkim świetle gasnącego dnia. Od wyjścia z restauracji walczył z pokusą, żeby zamknąć ją w swoich ramionach i pocałować. Jej żywiołowość, niezwykły wdzięk i uroda zapierały mu dech w piersi, chociaż - zauważył z satysfakcją - sposób, w jaki trzymała głowę i zaciskała usta, zdradzał

wewnętrzne napięcie. Czyżby miała takie same wątpliwości jak on? Czy i ona zastanawiała się, dlaczego są tutaj razem, wiedząc, co do siebie czują, a jednocześnie mając świadomość, że ich związek, wcześniej czy później, okazałby się katastrofą?

- Powiesz mi, o czym myślisz? - spróbował delikatnie.

- Jest cudownie - to słońce błyszczące na wodzie, wietrzyk, zapach morskiego powietrza. Wiesz, za czym naprawdę nie tęsknię? - zapytała smutnym głosem.

- Powiedz mi.

- Za Chrisem. Wiem, że powinnam, ale nie...

- Ale coś chyba czujesz, Cassie?

- Tak - westchnęła - wyrzuty sumienia. I ciągle myślę, że między mną i Chrisem jest coś, co nie zostało zakończone. Nie ma go tutaj, ale w jakimś sensie jest. Rozumiesz?

- Chyba tak - przyznał z ciężkim sercem. - Może powinnaś z nim jeszcze raz porozmawiać?

- Sama nie wiem. Wcześniej czy później będę musiała. Ale wolałabym później. Brian, wiesz, o czym jeszcze myślałam? - spytała pogodniejszym głosem.

- O czym?

- Że powinnam ci podziękować. Za to, że jesteś tu ze mną. Że mogłam z tobą normalnie, jak z przyjacielem, pogadać. Bardzo tego potrzebowałam.

Odwrócił głowę.

- Czy powiedziałam coś złego?

- Masz o mnie zbyt dobre mniemanie - wydusił z siebie, wciąż unikając jej spojrzenia. - Chcesz wiedzieć, dlaczego byłem taki spięty w czasie kolacji?

- Tak...

Zatrzymał się gwałtownie i utkwiał w niej głodny, pałający wzrok.

- Przez tę sukienkę.

- Sukienkę?

- Masz chociaż blade pojęcie, jak działasz na facetów w takich seksownych szmatkach?

- Nie chciałam wyglądać prowokacyjnie, nie myślałam o tym... - Czuła, jak pąsowieje na twarzy. - Ta kiecka jest po prostu wygodna.

- Uhm... - Pokiwał głową i zaczął iść dalej.

- Kupiłam ją dla siebie. Poza tym to było jak... gest emancypacji spod wpływów Chrisa.

- Emancypacji?

- On by mi nigdy nie pozwolił ubrać się w coś takiego. Zawsze chciał, żebym wyglądała jak reprezentacyjna żona młodego karierowicza.

- Aha... - Brian na moment zaniemówił, a potem omal nie wybuchnął śmiechem. - Szkoda. Facet nie wie, co traci. Więc to bunt przeciwko Chrisowi... - mruknął jakby do siebie.

- Nie wiem. Chciałeś mi pomóc poznać moją prawdziwą naturę, tak? Więc może w tej sukience czuję się naprawdę sobą.

- W każdym razie jesteś w niej bardzo przejrzysta.

- Brian, przestań, jeśli nie chcesz wyprowadzić mnie z równowagi.

- Boże broń!

- A wiesz, przypomniała mi się historia z dzieciństwa, kiedy miałam usuwane migdałki. Zabieg był wyznaczony na ferie świąteczne przed Bożym Narodzeniem i jak tylko mogłam wstać z łóżka, wyciągnęłam mamę do sklepu po wizytową sukienkę.

- Sukienką chciałaś uczcić rozstanie z migdałkami?

- Nie, nie w tym rzecz. Przez te cholerne migdałki przeleżałam w łóżku tyle świąt, że jak tylko się ich pozbyłam, postanowiłam, że za nic nie stracę wigilijnej zabawy u Lisy. Myślę, że podobnie się czułam po zerwaniu z Chrisem.

- Boże, Chris byłby zachwycony, wiedząc, że jest we wspólnej lidze z parą chorych migdałków.

- Brian, ty naprawdę nie łapiesz sedna sprawy.

- Mianowicie? - Strzelił palcami. - Pozwól mi zgadnąć. Uwielbiasz robić zakupy.

- Nie. Chodzi o to, że w ten sposób wyrażałam swoją wolność. Wtedy wolność od migdałków, a teraz od Chrisa.

- Cassie, ale po co chciałaś się uwolnić?

- Nie wiem... - przyznała po długim zastanowieniu. - Chyba po to, żeby żyć własnym życiem. Czy przypadkiem dla ciebie to też nie jest najważniejsze? Wolność, bez żadnych krępujących więzów?

Odwrócił się raptownie, spojrzał jej w oczy i powiedział ochryłym głosem:

- Cassie, w tej chwili czuję się bardzo skrupowany.

- Brian, ja... myślałam, że nie będziemy zaczynać od początku...

Słodki, bezradny wyraz jej twarzy sprawił, że Brian zupełnie stracił głowę. Miał wrażenie, że nie przeżyje następnych dziesięciu sekund, jeżeli jej nie pocałuje. Czy jeden niewinny pocałunek byłby czymś strasznym?

Tak czy inaczej, nie mógł się oprzeć pokusie. Kiedy zbliżył się o krok, Cassie zamknęła oczy, i wiedział już na pewno, że dręczy ją to samo pragnienie. Jej usta były niewiarygodnie delikatne. Ciepłe i drżące. Pożądał jej rozpaczliwie, do granic bólu, i już nie oszukiwał się, że chodzi o jeden pocałunek. Z trudem zdobył się na blady, wymuszony uśmiech.

- To za noszenie takiej sukienki. Cassie roześmiała się nerwowo.

- Skoro już zostałam skarcona...

- A zostałam?

- Nie - odpowiedziała zmienionym głosem i nagle wyciągnęła do niego rękę z rozmarzonym wyrazem twarzy.

W tym samym momencie tuż nad ich głowami przeleciała mewa, ochryple kracząc. Odskokczyli od siebie, oboje bez tchu, i wybuchnęli śmiechem.

- Co my jej zrobiliśmy? - spytał Brian. - Może to kara za złe prowadzenie się.

Brian sposepniał, zastanawiając się, czy interwencja ptaka sprawiła mu zawód czy ulgę.

- Może. - Wziął ją za rękę i poszli dalej w milczeniu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Hej, nie straciłaś ochoty na kąpiel? Jesteś gotowa?

To były pierwsze słowa Briana, kiedy następnego ranka Cassie otworzyła mu drzwi. Był w szortach i do połowy rozpiętej koszuli, z małą torbą w jednej ręce.

Cassie, w krótkim kombinezonie plażowym, sączyła sok pomarańczowy. Patrząc na niego maślanym wzrokiem i mając w pamięci ich wczorajszy pocałunek, nie była pewna, czy jest gotowa na cokolwiek z Brianem. Wykrzesła z siebie drżący uśmiech.

- Ale z ciebie ranny ptaszek. Proszę, wejdź.

- Powinniśmy wyjść, zanim zrobi się straszny upał. Poza tym jeżeli facet ma obiecać, że w końcu dostąpi zaszczytu obejrzenia bikini, nie ma mowy, wierz mi, żeby się spóźnił.

- Chcesz soku pomarańczowego?

- Nie, dziękuję, już się opilem w motelu.

- A wiesz, że jak wyszłam na balkon, z pół godziny temu, był bardzo silny wiatr?

- I dalej jest. Wywiesili nawet flagi sztormowe. Dlatego miałem ci zaproponować, żebyśmy popływali tutaj. Hotelowe kąpielisko jest z dwóch stron osłonięte od wiatru.

- To znaczy, że zdążyłeś już to sprawdzić? - Zrobiła okrągłe oczy.

- Jestem bardzo przedsiębiorczym typem - odparł z chichotem.

Widząc ten znaczący błysk w jego oczach, Cassie zawahała się.

- Brian... pójdźmy popływać później.

- Później? - spytał z miną zawiedzionego dziecka.

- Może wiatr osłabnie. Poza tym pomyślałam sobie... że najpierw moglibyśmy pozwiedzać miasto.

- Pozwiedzać - mruknął. - Zatechłe stare muzea i galerie?

- Niekoniecznie. Galveston ma bardzo ciekawą historię. Jean Laffitte, rodzina Moodych, wielki sztorm w 1900 roku. Mógłbyś się sporo nauczyć.

- Wiesz, czego się nauczyłem? Że każda wyprawa krajoznawcza z dziewczyną kończy się w sklepach z pamiątkami, gdzie człowiek wydaje fortunę na jakieś idiotyczne, nikomu nieprzydatne drobiazgi.

- Brian, jesteś strasznym cynikiem. Poza tym ja nie jestem twoją dziewczyną.

- Racja, nie jesteś moją dziewczyną. - Cień żalu przemknął po jego twarzy. - Więc kim właściwie jesteś, Cass? Znajomą?

Słowa uwięzły jej w gardle. Poruszyło ją to pytanie i sposób, w jaki zdrobnił jej imię, ale nie mogła sobie pozwolić na wyrażenie wszystkiego, co teraz czuła. Odpowiedziała ostrożnie:

- Chciałabym myśleć, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi? Czy przypadkiem oboje nie unikamy sedna sprawy?

- Mianowicie?

- Daj spokój, Cassie, nie jesteś tak tępa.

- Podpowiedz mi - szepnęła, uciekając przed jego namiętnym spojrzeniem.

- Dobrze... Ty. Ja. Nasz wczorajszy pocałunek.
- Pamiętam. Dlatego czuję, że musimy trochę ochłoniąć.
- Więc mnie unikasz.
- Unikam? - zaśmiała się. - A niby z kim wybieram się do miasta?
- Wiesz, co mam na myśli. Unikasz bycia ze mną sam na sam.
- A uważasz, że nie powinnam? - spytała hardo.
- Nie, Cassie... rozumiem cię, Oczywiście masz rację. No dobrze, chodźmy podziwiać zmurszałe kamienice.

Brian wykrzesał z siebie cały entuzjazm, żeby nie sprawić Cassie zawodu, i zwiedził z nią posłusznie trzy najbardziej znane zabytkowe budowle na Broadwayu - Pałac Biskupi, willę Ashtonów i rezydencję Moodych. Najwięcej cierpliwości kosztowało go zaliczenie kilku muzeów.

Jakim cudem miał skupić się na dziełach sztuki, kiedy wciąż czuł na ustach smak jej pocałunku i niczym jakiś maniak wyobrażał sobie, jak będzie wyglądała w bikini...

Był tak rozdarty. Przyjechał tu, żeby pomóc Chrisowi, a stracił głowę dla jego narzeczonej. Czuł się podle, ale nic nie mógł na to poradzić. Nie znajdował w sobie siły na bohaterski gest, jakim byłaby ucieczka i zapomnienie o Cassie na zawsze. Nigdy nie spotkał takiej kobiety jak ona - żywiołowej, pełnej humoru i wyobraźni, ale też mądrej i na swój sposób zrównoważonej. Nie wspominając o jej urodzie, o tym, jak na niego działała. Pragnął jej opętańczo, ale rozsądek mu podpowiadał, że nie miał jej do ofiarowania nic trwałego, poza jeszcze większym rozczarowaniem.

Po szybkim lunchu w barze powędrowali na zachodni kraniec wyspy. Cassie zauważyła z ulgą, że Brian wyraźnie się rozpogodził, kiedy dotarli do Piramidy Lasów Deszczowych w Ogrodach Moody'ego. Najbardziej zachwycała ich ogromna tropikalna oranżeria z mnóstwem śpiewających ptaków. Brian ścisnął radośnie jej dłoń, kiedy mijali oczka wodne porośnięte liliami, oglądali bajecznie kolorowe motyle, ary i szkarłatne ibisy.

Gdy mijał ich pracownik oranżerii, z piękną czerwono-zieloną papugą siedzącą dumnie na jego ramieniu, Brian wyciągnął rękę.

- Mogę? - zapytał, wzbudzając podejrzliwe zdziwienie młodego mężczyzny.

- Sir, nie wolno nam...

Ale przerwał w pół zdania, kiedy papuga głośno zaskrzeczała, sfrunęła z jego ramienia i wylądowała na wyciągniętej ręce Briana.

- Sorry - mruknął, chociaż miał bardzo zadowoloną minę.

- Sorry - powtórzyła papuga, wywołując salwę śmiechu trojga ludzi.

- Hej, Kapitanie Joe. - Chłopak wyciągnął rękę. - Wracaj.

- Wrracaj - zaskrzeczał ptak.

- Brian... - Cassie przyglądała się potężnemu dziobowi i pazurom papugi.

- Jesteś pewien, że nie powinienes...

- Jako nastolatek pracowałem dorywczo w sklepie zoologicznym. Nie martw się, Cassie.

- Nie martw się, Cassie - wrzasnął Kapitan Joe.

Tym razem opiekun ptaka, żeby skusić go do powrotu, wyciągnął z zawieszanej na nadgarstku sakiewki kilka winogron.

- Chodź, Kapitanie Joe. Jedzonko.

- Jedzonko! - Powtórzyła papuga, sfruwając mu na ramię.

Odprowadzając wzrokiem mężczyznę z jego papugą, Brian uśmiechnął się pod nosem.

- Zapomniałem już, jaka to frajda zajmować się ptakami.

- Cieszę się, że w końcu znaleźliśmy coś, co i ciebie interesuje.

- Zrobiliśmy to wcześniej. - Rzucił jej zaczepne spojrzenie.

- Zachowuj się!

- Tak jest! Chodź, obejrzymy sobie teraz owocazerne nietoperze.

- Nietoperze? - Skrzywiła się z odrazą. - Fuj!

- Fuj? To teraz już wiesz, jak na mnie działają stare murszejące rezydencje.

- Czy byłeś kiedyś badany pod kątem zaburzeń uwagi? - Cassie zapytała Briana w drodze do hotelu.

- Nie muszę być badany - zaśmiał się. - Wiem, że mój przypadek jest beznadziejny. Ale dlaczego pytasz?

- Kiedy zwiedzaliśmy posiadłość Moodych, nie pozwoliłeś mi się zatrzymać i przeczytać o pierwszej pani Moody...

- Nudne.

- Potem nie chciałeś ze mną iść na film o wielkim huraganie.

- Nie znoszę oglądać katastrof.

- W muzeum transportu nie interesowały cię rozmowy telefoniczne sprzed wielu lat.

- Może bardziej interesuje mnie współczesność. - Zamyślił się na chwilę. - Wiesz, Cassie, takie wystawy, ślady przeszłości wprawiają mnie w ponury nastrój. Tak wiele z tych ludzi umarło bardzo młodo - z powodu huraganów, epidemii, wojen. Co się stało z ich życiem, ich nadziejami, marzeniami? Dlatego wolę się skupiać na teraźniejszości i brać z życia, ile się da.

- To brzmi jakoś fatalistycznie.

- W czerpaniu radości z każdej chwili życia jest coś fatalistycznego? Nie sądzę. Swoją drogą, tylu ludzi żyje przyszłością, a nie tym, co tu i teraz. Choćby mój ojciec.

- Opowiedz mi o nim.

- Ma niewielką firmę transportową, a mama prowadzi mu księgowość i zajmuje się domem. Tata zaharowywał się całe życie, żeby tylko przepchnąć jakoś mnie i siostrę przez studia. Teraz dobiega sześćdziesiątki i dalej pracuje jak szalenciec, żeby odłożyć jak najwięcej na swoją i mamy emeryturę. Chodzi mi o to, że on nigdy nie korzystał z życia.

- I to cię martwi? Uważasz, że ludzie obarczeni rodzinami nie mają swoich radości?

- Obowiązki, ciągła odpowiedzialność za innych mogą zabić każdą radość. Tak było z moimi rodzicami. Ale powiem ci coś - jeśli poszczęści mi się na giełdzie, ich los się odmieni.

- Jesteś dobrym synem.

- Ja? Dobrym synem? Byłem ich utrapieniem! Mało dzieci aż tak daje popalić swoim rodzicom. Spytaj mojej mamy.

- Aha... Czyli za wszystkim, co teraz mówisz, kryje się poczucie winy.

- Bystra dziewczynka. Więc jeżeli będę mógł kiedyś pomóc swoim starszkom, wierz mi, że to zrobię.

- Wierzę.

- A twoja rodzina, Cassie? Jak im się wiedzie?

- Też było ciężko, ale sytuacja znacznie się poprawiła, odkąd ja i mój brat Todd jesteśmy samodzielni. Nie chciałabym tylko ich zawieść, tak jak ze ślubem. Znieśli to dzielnie, ale wiem, ile stracili przeze mnie nerwów i pieniędzy. Właściwie gdyby Chris nie zachował się w ostatniej chwili jak drań, jestem pewna, że byłabym teraz jego żoną.

- Jesteś pewna, że on nie przemyślał wszystkiego?

- A nawet gdyby? Zbyt wiele razy zmieniał już zdanie, w zbyt wielu sprawach. On jest jak chorągiewka na wietrze, brakuje mu charakteru. Po prostu nie mam do niego zaufania. Z tobą przynajmniej...

- Tak? - zapytał z napięciem w głosie.

- Ty nie próbujesz mnie oszukać, Brian. Nie zgrywasz się, niczego nie udajesz. Jesteś tym, kim jesteś.

- Jasne... Tym, kim jestem - powtórzył z ponurą miną. - Może wilkiem w owczej skórze?

- Brian, ja tego nie powiedziałam.

- Ale ja tak czuję. Za bardzo mi ufasz, Cassie. A ja nie mam, niestety, powodów do dumy.

- Dlaczego tak mówisz?

- Wiesz, że przyjechałem tutaj, żeby pomóc Chrisowi.

- Tak.

- Ale im więcej się o nim dowiaduję, tym mniej mam dla niego współczucia.

- Wiem.

- Wygrał los na loterii, mógł mieć wszystko i stracił to na własne życzenie.

- Tak.

Brian zacisnął ręce na kierownicy.

- A ja im dłużej jestem z tobą...

- Wiem.

- W takim razie wiesz, ile mnie kosztuje trzymanie rąk przy sobie? - Zatrzymał się na czerwonym świetle i spojrzał jej w oczy.

- Tak - odpowiedziała drżącym głosem. - Ale nic na to nie możemy poradzić.

- Nie możemy?

- Dla mnie to za wcześnie. Nie doszłam jeszcze do ładu sama z sobą, nie dowierzam sobie, niczego nie jestem pewna... Poza tym Chris wciąż jest między nami.

- W jakim sensie?

- To tak jak kiedyś w szkole... - Tęskny uśmiech zatańczył na jej ustach. - Moja najlepsza przyjaciółka zerwała ze swoim chłopakiem. Od dawna mi się strasznie podobał, ale nawet nie marzyłam, żeby się z nim umówić.

- Dlaczego?

- Bo jest taka niepisana zasada. Były chłopak najlepszej przyjaciółki jest owocem zakazanym. Przekładając to na naszą sytuację - kuzyn byłego narzeczonego jest owocem zakazanym.

Brian ruszył spod światła, wybuchając śmiechem.

- Co w tym śmiesznego?

- Ja, niestety, nigdy nie traktowałem zbyt serio szkolnych zasad.

- Aha - mruknęła. - No to grożą nam kłopoty.

- Owszem.

Skręcili w aleję na falochronie i Brian opuścił szybę, wpuszczając do środka podmuch gorącego powietrza. Gwizdnął.

- O rany, można się ugotować. No to co, Cassie, dojrzałaś do kąpieli? Zaraz powiesz, że na plaży za bardzo wieje, więc proponuję plan numer dwa - kąpielisko w twoim hotelu.

Wahała się przez chwilę, ale w końcu zdała sobie sprawę, że żadne wykręty nie pomogą. Byli w Galveston i wcześniej czy później będą musieli wejść do wody.

- Zgoda. Z przyjemnością się ochłodzę. Tylko niech ci się nic nie marzy.

- Cassie, za późno... Już mi się zamarzyło.

Dwadzieścia minut później stali na brzegu wyludnionego kąpieliska, osłoniętego zewnętrznym murem hotelu od południowych i zachodnich wiatrów. Brian, w granatowych kąpielówkach, usiadł na leżaku, pocierając dłonie.

- Cassie, czas na prezentację bikini bez wspomnień.

- Brian, przestań się wygłupiać. To zwykły kostium...

- Więc pokaż się w nim. Pamiętasz, jaki byłem wczoraj grzeczny na zakupach? W życiu nie spędziłem tyle czasu w żadnym sklepie. A wszystko dla tej magicznej chwili... Cassie, nie daj się prosić.

Tłumiąc śmiech, rzuciła mu strofujące spojrzenie i zdjęła jednym ruchem krótki płaszcz kąpielowy. Zobaczyła, jak pożera ją wzrokiem. Zabrakło jej tchu, ale zrobiła pełny obrót i spytała nienaturalnie wesołym głosem:

- Podoba ci się?

Zaczerpnął głęboko powietrza.

Dlaczego widok pięknej kobiety w bikini jest bardziej podniecający niż jej zupełna nagość? Działa jak magiczny wabik, obietnica jeszcze większych rozkoszy. Góra kostiumu ledwie zasłaniała jej pełne piersi, skąpy trójkącik na pośladkach, podkreślający ich krągłość, był czystą prowokacją. I te nogi. Długie, jędrne i gładkie.

- Fantastyczny - powiedział na bezdechu. - Doskonały. Byłby jeszcze doskonalszy, gdybyś...

- Tak?

- Gdybyś go na sobie nie miała.

- Brian!

Wpatrywał się w nią w milczeniu, potem wstał z leżaka.

- Kupiłaś go dla mnie, Cassie?

- Ja... - odwróciła wzrok. - Kupiłam go, żeby poczuć się wolna od Chrisa.

- Wolna ze mną?

- Boże... - Potrząsnęła głową. - Musisz być bardzo pewny siebie, jeśli zakładasz, że masz na mnie aż taki wpływ.

- Więc nie mam?

Nie miała zamiaru odpowiadać na tak prowokacyjne pytanie ani znosić dalej tego straszliwego napięcia. Żeby rozładować atmosferę, chwyciła z sąsiedniego leżaka dziecięce koło ratunkowe w kształcie kaczki i cisnęła nim w Briana.

- Masz, pobaw się kaczuszką!

- Sama tego chciałaś! - Śmiejąc się, odrzucił na bok zabawkę i zmrużył oczy. - Teraz dostaniesz za swoje.

- Nie dostanę.

Wbiegła do wody i dała głębokiego nurka. Usłyszała za sobą głośny plusk, ale obiecana kara nie została wymierzona od razu. Brian popłynął szybkim kraulem przed siebie, a ona przewróciwszy się na plecy, patrzyła w piękne, przejrzyste niebo.

Dopiero kiedy wychodziła na brzeg, Brian chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie, zmuszając, żeby spojrzała mu w oczy. Wyglądał jak grecki posąg. Kropelki wody połyskiwały na jego opalanej skórze, skapywały z włosów na rzęsy i rozpromienioną twarz.

- Nie miałem serca cię przytopić, chociaż naprawdę na to zasłużyłaś.

- Wielkie dzięki.

- Nie dziękuj, bo jeszcze nie skończyłem...

Objął dłońmi jej twarz i zamknął usta długim, gwałtownym pocałunkiem. Nawet nie próbowała się bronić. Przyłgnęła do niego bezwiednie i nagle przestała myśleć. Czuła się naga, zupełnie zniewolona... i drżała z rozkoszy. Zsunęła rękę z jego ramion. Najpierw nieśmiało, potem z coraz większym zapamiętaniem gładziła jego tors, sprawdzając bicie serca, ucząc się na pamięć rzeźby każdego mięśnia.

Kiedy oderwali się od siebie, oboje bez tchu, Brian uśmiechnął się i zatopił wzrok w jej oczach.

- Połóżmy się na chwilę. Posmaruję cię kokosowym masłem, a potem...

- Brian... - Odsunęła się o krok. - Jest mi zimno.

- Jest na to rada. - Wyciągnął rękę, żeby ją objąć, ale cofnęła się dalej.

- Woda jest chłodniejsza, niż myślałam.

- Dlatego powinnaś wyciągnąć się na słońcu.

- Ale ja... jestem głodna.

- Żartujesz? Dopiero zaczęliśmy pływać.

- Ale naprawdę ssie mnie w żołądku. Mam ochotę na wielkiego steka z kością.

Brian wybuchnął śmiechem.

- Powiedziałaś coś śmiesznego?

- Cassie, jesteś niesamowita! Masz wyjątkowo oryginalne pasje. Po pierwsze, łażenie po sklepach... - Zaczął liczyć na palcach. - Turystyka krajoznawcza. Jedzenie. I... - Zmrużył szatańsko oczy. - Jest coś czwartego?

Wyprowadzona z równowagi, klapnęła go z całej siły mokrą ręką.

- No dobrze. - Złapał ją za nadgarstek. - Nakarmię cię, jeśli jesteś głodna.

- Pochylił się, ale ledwie dotknął jej ust, Cassie jęknęła bezgłośnie i uciekła z kapieliska, obawiając się, że jeszcze chwila i zabrakłoby jej na to silnej woli.

Była głodna - nie, ona umierała z głodu, ale to nie stek z kością mógł go zaspokoić.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Mimo że następnego ranka Brian przyszedł po Cassie równie wcześnie, zastał ją gotową do wyjścia.

- Więc co robimy dzisiaj?

- Czy ja wiem, szczerze mówiąc, nie zastanawiałam się...

- Dwaj starsi panowie z mojego motelu zachęcali mnie do wycieczki na Półwysep Bolívara.

- Przejazdźka promem? Niezły pomysł.

- Podobno są tam ciekawe mokradła zalewowe i piękny park.

Moglibyśmy kupić piezzonego kurczaka i zrobić sobie piknik.

- Zgoda.

- Mówili, że w parku są jakieś bunkry z czasów drugiej wojny światowej.

- O, myślałam, że masz wstręt do historii.

- Może nie wstęć, ale nie znoszę starych zagrzybionych domów - wyjaśnił urażonym tonem. - Mój dziadek służył w marynarce wojennej na Pacyfiku.

- Jasne. - Strzeliła palcami. - Wojna, wielkie okręty, broń, czołgi. Wszyscy chłopcy to lubią. Twój dziadek żyje?

- Ten, o którym mówię, tak, ojciec mojej mamy. Drugi dziadek zmarł, kiedy byłem dzieckiem. Ale dziadziś marynarz był dla mnie najważniejszy. I jest do dzisiaj.

- Chętnie bym go poznała - powiedziała bez zastanowienia.

- Trzeba będzie to zorganizować - Brian odparł zwyczajnym tonem, nie komentując jej słów.

Przed wjazdem na przystań promową kupili podwójną porcję smażonych udek kurczaka, z najróżniejszymi dodatkami i sosami, oraz tani styropianowy pojemnik, który wypełnili butelkami z zimną wodą.

Kiedy prom oddalił się od brzegu, wyszli z samochodu na przedni pokład. Ranek był ciepły i słoneczny, powietrze pachniało morzem i rybami, Cassie wystawiła twarz do wiatru i przymknęła z zadowolenia oczy, kiedy Brian objął ją w tali i lekko przytulił. Zaśmiewali się oboje, obserwując igraszki delfinów, nurkujących zaledwie kilka metrów od burty.

- To jest coś, czego nie oglądam w Colorado - mruknął.

- Nie ma tam promów ani delfinów?

Z posmutniałą nagle miną spojrzał jej w twarz.

- Nie mam tam wielu rzeczy, Cassie.

Umknęła w bok wzrokiem, czując, jak pałą ją policzki i łomocze serce.

Wkrótce dobili do brzegu i zjechali z promu, w ślad za długim sznurem samochodów, na wąski, równinny, niemal jałowy półwysep. Jadąc główną drogą, minęli niewielki sklep i starą opuszczoną latarnię morską. Tuż za grupką domów Brian zauważył drogowskaz z napisem „Mokradła Bolívara” i skręcił w piaszczysty trakt prowadzący na plażę.

Zaparkowali w oznaczonym miejscu i powędrowali wzdłuż brzegu przez piaszczyste łąchy, gdzie roilo się od tysięcy najrozmaitszych ptaków - brodzących w błocie, łowiących ryby albo przelatujących nad ich głowami. Roześmiali się na widok mewy, która próbowała ukraść rybę mniejszemu ptakowi.

- To jest życie - powiedział Brian, przeciągając się z radosnym westchnieniem. - Może w następnym wcieleniu będę ptakiem.

- Uhm, trzepocząc skrzydłami, byłbyś ciągle w ruchu.

Brian skrzywił się drwiąco, kiedy oboje zauważyli starszą parę w strojach khaki. Wymachując lornetkami, zmierzali wprost ku nim.

- Dzień dobry! - zawołał mężczyzna z brytyjskim akcentem. - Czy widzieli państwo kiedykolwiek tyle szlamników, sieweczek, nie mówiąc o rybitwach i biegusach? Niewiarygodne! To nawet przebija wyspę Padre - Rosa i ja byliśmy tam raptem tydzień temu.

- Ach tak? - Brian uśmiechnął się pod nosem. - Dla mnie to po prostu gromada ptaków grzebiących w błocie.

- No cóż... - Zaśmiali się oboje. - Zapewne nie słyszeli państwo o wydrzyku pasożytnym, który występuje w tych okolicach? - spytała afektowanym głosem kobieta. - To niezwykle rzadki gatunek i mieliśmy wielką nadzieję go wypatrzeć, zanim nasza grupa uda się do Rio Grande.

- Marzymy, żeby choć raz na niego zerknąć - dodał mężczyzna.

- Wydrzyk pasożytny? - powtórzył Brian, pocierając brodę. - Zaraz, zaraz... Już wiem! Widuje się go na wschodnim krańcu wyspy Galveston.

- Jest pan pewien?

- Na sto procent.

- Och, Horacy! - Kobieta klasnęła z radości. - To wspaniale. Musimy tam natychmiast jechać! -

- Naturalnie, naturalnie... Dziękujemy, młody człowieku.

- Drobnostka.

Cassie patrzyła na parę Anglików spieszących truchtem w stronę parkingu.

- Brian! Nie chce mi się wierzyć, że okłamałeś tych miłych ludzi.

- Jakoś trzeba było się ich pozbyć - powiedział z przekornym błyskiem w oczach. - Jeszcze chwila i uraczyliby nas wykładem z ornitologii.

- Jak mogłeś! To starsi ludzie, skazałeś ich na daremny wysiłek!

- Myślałem, że dla fanatyków, którzy uganiają się z lornetką za ptakami, daremny wysiłek to chleb powszedni. Musi im to sprawiać przyjemność.

- Brian!

- Cassie, Anglicy mają świra na punkcie ptaków. Tabunami przyjeżdżają do Colorado i zdeptują góry. A swoją drogą, wcale nie okłamałem tych ludzi.

- Owszem, zrobiłeś to! Założę się, że nie słyszałeś o żadnym modrzyku pasożytnym.

- Wydrzyku. Dziwne, że ty o nim nie słyszałaś. O pojawieniu się tego ptaka na wyspie mówi całe miasto. Dowiedziałem się o tym dzisiaj rano w motelu, od starszych panów, którzy namawiali mnie na przyjazd tutaj.

- W porządku, poddaję się. - Machnęła ręką. - Tak naprawdę, nigdy bym nie uwierzyła, że jesteś kłamcą.

- Cassie, byłem kiedyś orlim skautem, a orli skauci nigdy nie kłamią. Wiesz co? Jeżeli skłamałem, zabieram cię dziś na kolację, gdzie tylko chcesz. A jeśli powiedziałem prawdę... dostanę na przeprosiny bardzo słodkiego buziaka.

- Zgoda. - Wzruszyła ramionami, chociaż ta druga propozycja wydała jej się bardziej kusząca, niż chciała to przyznać. - I tak nie mamy szansy sprawdzić, czy miałeś rację.

Po ostoi ptaków na mokradłach przyszła kolej na zwiedzenie parku Fort Travis, gdzie największą atrakcją dla Briana były stare składy broni i opuszczone bunkry obserwacyjne.

- Straszne... - jęknęła Cassie, kiedy weszli do betonowej komory wielkości budki telefonicznej. - Siedzieć nie wiadomo jak długo w takiej ciasnej norze i wypatrywać nieprzyjacielskich okrętów albo samolotów.

- Tym bardziej że nieprzyjaciel nigdy się nie pojawił. Ale gdyby taki żołnierz miał ciebie za towarzysza...

- To co?

- To wolę nie myśleć, co by się stało z tą wyspą, gdyby jednak została zaatakowana.

- Wiesz co? - Rzuciła mu groźne spojrzenie. - Lepiej już stąd wyjdźmy.

Spacerując po rozległym parku, trafili na pole kempingowe z przylegającym do niego placem zabaw. Tuż obok Cassie zauważyła trzech chłopców, dwunastoletnich albo nieco młodszych, którzy szaleli na deskorolkach po betonowym fundamencie opuszczonej budowy.

Jeden z nich, próbując jakiegoś skoku, wylądował na tylnej części deski i stracił równowagę.

- Brian, widziałeś to?

- Tak - odpowiedział z niepokojem i pobiegł do dzieci.

Zanim Cassie go dogoniła, pomógł chłopcu się podnieść i otrząść z kurzu.

- W porządku, nic ci się nie stało?

- Nie, proszę pana. - Miły rudzielec pokręcił smutno głową. - Ale to straszny obciach. Głupio mi.

- Nie przejmuj się. To nie jest łatwy numer. Pozostali chłopcy, zaintrygowani, podeszli do Briana.

- A pan się na tym zna? - spytał drugi.

- Rozmawiacie z byłym mistrzem Środkowego Zachodu.

- O rany!

- Super! - westchnął trzeci. - Może nam pan pokazać wyskok „ollie”?

- Jasne.

Cassie patrzyła zdumiona, jak Brian demonstruje przejętym dzieciakom podstawy wyczynowego skateboardingu - różne „ollie”, „ollie flipy”, „heelflipy” i coraz trudniejsze ewolucje. Chłopcy klaskali i piali z zachwytu - który powoli udzielał się jej samej. Ironia losu, pomyślała. Brian zachowywał się jak przerośnięte dziecko, a tak bardzo ją fascynował jako mężczyzna. Może dlatego, że był taki naturalny w kontakcie z tymi dziećmi, że nie traktował ich z góry, tylko po przyjacielsku. Wolała sobie nie wyobrażać w takiej roli Chrisa Carlisle'a.

Po kilku minutach podszedł do nich brodaty mężczyzna w dzinsowym ubraniu.

- Tata! - krzyknął jeden z chłopców. - Ten pan pomógł Pete'owi. On jest mistrzem skateboardingu!

- Macie szczęście - odpowiedział, uśmiechając się do Cassie. - Bałem się, że jak tak dalej pójdzie, wszyscy wylądujecie w szpitalu.

Brian zakończył lekcję wykładem o zasadach bezpieczeństwa.

- A teraz proszę, żebyście dali mi słowo, że będziecie jeździć w kaskach i ochraniaczach i że nawet nie spróbujecie żadnej trudniejszej sztuczki, dopóki nie opanujecie podstawowych manewrów.

Chłopcy potulnie złożyli obietnicę, a ojciec uściśnął rękę Brianowi.

- Dziękuję za trening.

- Sprawilo mi to przyjemność.

Pożegnawszy się z chłopcami, ruszyli dalej. Kwadrans później, siedząc przy piknikowym stole i skubiąc kurczaka, Cassie spojrzała na Briana z niekłamanym podziwem.

- Byłeś niesamowity z tymi dziećmi.

- Uwielbiam dzieci.

- Naprawdę?

- Tak. W Denver jestem „starszym bratem” chłopca z sierocińca.

- Mówisz o tym programie społecznym - Starszy Brat, Starsza Siostra?

- Uhm. Mój dzieciak nazywa się Otis Cleburne. Ma jedenaście lat. Jego ojciec siedzi w więzieniu, matka zginęła w przypadkowej strzelaninie.

- To straszne.

- Tak. Ale chłopak ma wspaniałą babcię, która chodzi z nim co niedzielę do kościoła. - Zaśmiał się cicho. - Lois i ja uparliśmy się, że nie damy mu zejść na złą drogę.

- I jak wam idzie?

- Nie jest źle. Obiecałem już Otisowi, że pójdzie do college'u, nawet gdybym miał sam za to płacić.

- Brian! Bierzesz na siebie wielką odpowiedzialność.

- Traktuję to poważnie, Cassie. Poza tym dzieciak zapowiada się na świetnego koszykarza. Jestem pewien, że dostanie stypendium, jeśli nie opuści się w nauce.

- Jesteś wielki.

- Ale nie na tyle wielki, żebyś przestała myśleć, że jestem kłamcą? - zakpił.

- Na pewno okłamałeś tych biednych Anglików. Ale coś mi tu nie gra, Brian. Lubisz dzieci, a nie chcesz mieć swoich.

- Mam Otisa... No tak, pytasz o małżeństwo.

- Mówisz to takim tonem, jakby chodziło o wyrok dożywocia.

- Nieprawda.

- Brian!

- No dobrze, myśl o założeniu rodziny może peszyć kogoś, kto nie czuje się całkiem gotowy...

- Aha.

- Ale rzeczywiście... sam się trochę dziwię, że nie przeszkadza mi to lubić dzieci.

Teraz Cassie poczuła się nieswojo. Przez chwilę udawała, że jest pochłonięta wybieraniem następnej części kurczaka.

- Lubię też bardzo małe dzieci, nawet niemowlaki - dodał Brian od niechcena.

- Naprawdę?

- Mam dzięki temu ogromne poważanie u swoich sióstr.

- A ile masz tych sióstr?

- Starsze ode mnie bliźniaczki, Sidney i Shiley.

- O, więc w twojej rodzinie zdarzają się bliźniaki.

- Tak. Swoją drogą, cztery lata temu moje siostry wyszły jednocześnie za mąż. Był podwójny ślub.

- Zabawne.

- A dwa lata później obie, w odstępie kilku dni, urodziły dzieci. Jedna dziewczynkę, druga chłopców bliźniaków.

W ten sposób zostałem potrójnym wujkiem. I w obu domach robię furorę jako baby-sitter. Kiedy wszystkie inne sposoby zawodzą, jestem jedynym człowiekiem, który potrafi uspokoić moich płaczących siostrzeńców i siostrzenicę. Moja mama uważa nawet, że jestem jedynym mężczyzną na świecie, który potrafi uspokoić jakiegokolwiek dziecko.

- Zaraz, zaraz... Tu już przesadziłeś! Żaden mężczyzna nie potrafi uspokoić płaczącego dziecka.

- Słoneczko, żaden oprócz mnie. - Brian wyprężył dumnie pierś.

- Znowu kłamiesz.

- Cassie... - Pochylił się ku niej. - Zapewniam cię, że potrafię uspokoić każde dziecko. Może dlatego, że dzieci mnie fascynują. Przyglądałaś się kiedyś niemowlakowi?

- Jasne, mam siostrzeńca i siostrzenicę.

- Taki mały człowiek jest ciągle w ruchu. Macha rączkami, ssie palec, rozgląda się, śmieje, grucha, gaworzy.

- No tak, nieustanna aktywność. Nic dziwnego, że to cię tak fascynuje.

- Wciąż myślisz, że zmyślam?

- Aha. Ciekawe... ptaki i dzieci. Na temat pszczół też fantazujesz?
- Też nie. A wiesz, że mam wujka pszczelarza?
- I potrafisz uspokoić każdą pszczołę?
- Nie. Boję się pszczół jak diabli. Kocham dzieci.
- Kłamca! - Cassie wybuchnęła głośnym śmiechem.
- Uważaj, kobieto. - Pogroził jej palcem. - Podwajamy stawkę. Jeśli udowodnię, że nie jestem kłamcą, dostanę dwa buziaki.
- A ja dwie kolacje, jeśli udowodnię, że nim jesteś.
- Umowa stoi.
- Niech ci będzie. To i tak bez sensu, bo nigdy nie będziemy w stanie udowodnić, kto ma rację.
- Nigdy? - Rozchylił usta w błogim uśmiechu. - Zobaczymy.

Sznur samochodów wracających na prom był niespodziewanie długi. Kiedy się w końcu znaleźli po przeciwnej stronie kanału, usiedli przy piknikowym stoliku koło przystani, żeby skorzystać z toalety i napić się wody. Brian, zamyślony, patrzył na lekko wzburzoną zatokę.

- Zapowiada się żeglarska pogoda. Wypożyczymy na wieczór łódź?
- Po tak długiej wycieczce jeszcze ci mało?
- Zawsze mam ochotę na więcej.

Cassie zacisnęła usta. Sama się o to prosiła.

- Nie ma przymusu. Może się dzisiaj wcześniej położysz?
- Wypchaj się, nie jestem staruszką.

Patrząc na siebie z uśmiechem, usłyszeli nagle rozdzierający płacz dziecka i oboje z wrażenia otworzyli usta.

- Widzisz to samo co ja? - Spojrzał na odległy stół, przy którym siedziały dwie kobiety.

Obie pochylały się nad rozplakaną dziewczynką w żółtej sukience. Młodsza z nich, zapewne matka, próbowała dać córce butelkę, ale mała odpychała ją uparcie, wyrywała się i rozpaczała coraz głośniejsze.

- Biedactwo - mruknęła Cassie. - Pewnie jest śpiąca.
- Tak. Doskonała okazja, żeby przekonać cię, że nie jestem kłamczuchem.
- Nie chcesz chyba uspokajać akurat tego dziecka...?
- Dlaczego nie? Popatrz, jak to się robi - powiedział z pewną siebie miną i ruszył do akcji.

- No nie, muszę to zobaczyć - mruknęła pod nosem Cassie i poszła za nim.

Obie kobiety spojrzały na nich podejrzliwie.

- Dzień dobry paniom - uśmiechnął się promiennie. - Ja i moja przyjaciółka zastanawialiśmy się, czy nie potrzebują panie pomocy.

- Nie, dziękujemy - odburknęła starsza kobieta, wyglądająca na babcię dziecka, zanim matka zdążyła otworzyć usta. - Nie widzi pan, że jesteśmy bardzo zajęte?

- No właśnie. Przekonywałem swoją przyjaciółkę, że potrafię uspokoić każde dziecko, ale ona mi nie wierzy. Panie mogłyby rozstrzygnąć nasz zakład.

- Radzę panu stąd odejść. - Babcia podniosła głos.

- Naprawdę potrafi pan uspokoić każde dziecko? - spytała matka dziewczynki, od początku przyglądająca się Brianowi z zainteresowaniem.

- Mam czarodziejskie sposoby. Chce się pani przekonać?

- Na pewno panie myślą, że mój przyjaciel jest psychiczny... - wtrąciła się błyskawicznie Cassie. - Wcale się nie dziwię, ale przysięgam, że to przyzwoity facet, zupełnie normalny. Pomógł swoim siostrąm wychować troje dzieci, poza tym jest starszym bratem dla chłopca z sierocińca.

- Czy ja wiem... - Młoda matka wyraźnie skłaniała się do ustępstwa, ale babcia wciąż miała groźną minę.

Tymczasem stała się rzecz zdumiewająca. Najpierw dziecko, przytulone twarzą do matki, odwróciło się i spojrzało na Briana, który - jakby tylko na to czekał - uśmiechnął się i zrobił śmieszny minę. Dziewczynka zakwiliła cichutko

i z drżącą jeszcze dolną wargą wbiła w niego okrągłe oczy. Brian włożył oba kciuki do uszu i zafalował dłońmi. Mała zmarszczyła nos, kilka razy głęboko westchnęła, a potem włożyła kciuk do buzi i zaczęła go spokojnie ssać. W końcu, gdy Brian przewrócił oczami i zrobił jeszcze jedną błazeńską minę, dziecko zanosło się chichotem.

Matka i babcia spojrzały na siebie, obie osłupiały z wrażenia.

- Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego - przyznała starsza kobieta.

- Ani ja - szepnęła jej córka.

Brian uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

- Mogę?

Wszyscy zdumieni się jeszcze bardziej, kiedy dziewczynka zaczęła pisać, wymachiwać rączkami i nóżkami, wyraźnie domagając się, żeby obcy człowiek wziął ją na rękę!

- Proszę bardzo - powiedziała matka, podając mu dziecko. Mała zaczęła radośnie gaworzyć, jedną rączką złapała

Briana za włosy, a drugą szarpała kołnierz jego koszuli.

- I co? - Brian z dumną miną odwrócił się do Cassie.

- Poddaję się. Jesteś w stanie uspokoić każde dziecko na świecie.

- Na pewno - przytaknęła matka dziewczynki. - Nie szuka pan przypadkiem pracy? Rozglądamy się za dobrą nianią. Wymagamy oczywiście referencji i...

- Niestety nie - odpowiedział ze śmiechem i delikatnie oddał dziecko jego mamie. Kiedy mała zaczęła protestować, pogroził jej palcem. - No, no, teraz masz być dobra dla mamusi.

- Dziękuję panu - powiedziała kobieta.

- To ja pani dziękuję.

Brian i Cassie wrócili na swoje miejsca i do końca podróży nie usłyszeli płaczu dziecka.

- No i co? - Jeszcze raz spytał tryumfalnie Brian.

- Gdybym nie widziała tego na własne oczy, nigdy bym ci nie uwierzyła.

- No właśnie. - Dopiero kiedy wrócili do samochodu, odwrócił się do niej z diabelskim ogniem w oczach. - A teraz jesteś mi winna pocałunek.

- Łajdak.

Pochylał się ku niej, gdy nagle oboje podskoczyli w miejscu na dźwięk klaksonu i głośnego wołania z wyraźnym brytyjskim akcentem.

- Synu! Synu!

Odwrócili się i w jednym z samochodów czekających w kolejce na prom zobaczyli parę znajomych Anglików. Brian złapał Cassie za rękę i gwizdząc wesoło, zaciągnął ją do Horacego i Rosy.

- Kto by pomyślał, że spotkamy się ponownie!

- Chcieliśmy tylko panu serdecznie podziękować. - Kobieta rozplynęła się w uśmiechu. - Wydrzyki pasożytne są dokładnie tam, gdzie pan powiedział.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział, patrząc kątem oka na Cassie.

- Teraz wracamy na półwysep, żeby podzielić się dobrą wiadomością z resztą grupy - dodał mężczyzna.

- W takim razie życzę państwu powodzenia w dalszych poszukiwaniach.

W drodze do samochodu Cassie czuła na sobie świdrujący wzrok Briana.

- No i co? - spytał w końcu.

- Zaplanowałeś to wszystko, prawda? - Odwróciła się do niego po chwili, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

- Co?

- Wynająłeś tych podglądaczy ptaków i kobietę z dzieckiem, wszystko po to, żeby zrobić ze mnie durnia.

- Cassie, daj spokój. - Skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na nią pobłaźliwie. - Sama z siebie zrobiłaś...

- Och, ty! - Udając złość, zaczęła go okładać pięściami.

- A więc? - Złapał ją za nadgarstek.
- Dobrze, niech ci będzie. Nie kłamałeś.
- Ani razu. Jestem orlim skautem, a orli skauci nigdy nie kłamią. Powiedz

to.

- W porządku! Jesteś orlim skautem, a orli skauci nigdy nie kłamią.

Wystarczy? A może jeszcze powiesz, że jesteś doskonały, bez skazy?

- A jak ci się wydaje? W każdym razie, jesteś mi winna dwa pocałunki.

- No i guzik. Dwie fantastyczne kolacje diabli wzięli. Przyciągnął ją bliżej, a ona patrzyła w te jego roziskrzone,

wyzywające oczy, i czuła, że zupełnie traci głowę.

- Więc wolisz jedzenie od moich pocałunków?

- Tym razem ja odmawiani zeznań.

Dygotała cała w błogim oczekiwaniu, lecz on wziął głęboki oddech i powoli uwolnił ją z objęć.

- Zapowiada się kapitalna pogoda na żeglowanie - mruknął.

- Co...?

- Później, Cassie - odpowiedział znaczącym tonem. Kiedy wsiedli do samochodu, to „później” wydało się

Cassie bardziej prowokujące od najcudowniejszego pocałunku, jaki mogła sobie wyobrazić.

Późnym wieczorem żeglowali w świetle księżyca po opustoszałej zatoce. Siedzieli obok siebie na wąskiej ławce przy sterze, spoglądając w milczeniu na wydęty, chwytający pełny wiatr żagiel, spienione srebrzyście fale, blade strzępy chmur otaczające wianuszkami wielki żółty księżyc.

Sceneria nie mogła być bardziej romantyczna, a Cassie nie opuszczała świadomości, że wciąż winna jest Brianowi dwa pocałunki. Pocałunki, o których bezwstydnie marzyła od kilku godzin.

Nigdy nie czuła się bardziej rozdarta. Co miała zrobić? Nie chciała zakochać się w nim tak szybko. Ale z nikim jeszcze nie czuła się tak dobrze.

Brian był uczciwy, nie miał w sobie cienia hipokryzji, której tak nie lubiła u Chrisa. Nie próbował nawet mieć jej obietnicami ani słodkimi kłamstwami. To ujmowało ją najbardziej. Ufała mu.

Nie ufała jednak własnym uczuciom. Jeszcze nie.

- Jak to dobrze, że jednak nie poszłam spać z kurami. Jest cudownie - szepnęła.

- Ty jesteś cudowna - odszepnął, patrząc jej w oczy.

- Brian, błagam cię...

- Ale to prawda, Cassie. Spójrz na te fale. Jestem pewien, że żadna nimfa morska nie umywa się do ciebie.

- No, taki komplement - zaśmiała się - mogę przyjąć z nieudawaną skromnością.

- To, że jesteś skromna, już ci mówiłem.

Zanim się zorientowała, poczuła na ustach jego ciepłe, słonawe wargi. Westchnęła z ulgą, ujęła w dłonie jego twarz i z niewypowiedzianą rozkoszą, tym razem bez słów, potwierdziła, że orli skaut nigdy nie kłamie.

Kiedy odprowadził ją do drzwi, wymruczała słowa pożegnania, unikając jego wzroku.

- Dzięki za wspaniały dzień.

- Chcesz mnie zaprosić do środka? - Dotknął jej policzka.

- Raczej nie, Brian.

- Jesteś mi winna jeszcze jeden pocałunek. Zresztą możemy tylko pogadać...

- Pogadać? - zaśmiała się nerwowo, podnosząc wzrok. - Jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

- Pewnie masz rację...

- Brian... - Wzięła głęboki oddech i oparła się plecami o drzwi. - Jak myślisz, do czego to prowadzi?

- Co? Masz na myśli pocałunek na łodzi?

- Tak. Ten i kilka wcześniejszych.

- Cassie, to było spontaniczne...

- Oczywiście. Ale oboje zdajemy sobie sprawę, że ta spontaniczność wpędzi nas w poważne tarapaty.

- Wiem.

- Wiesz? I co? Za kilka dni wracasz do Denver, do swojego kawalerskiego życia, a ja...

- Tak?

- Też wracam. Do własnego, zupełnie innego życia.

- To znaczy?

- Brian - zaczęła, starannie dobierając słowa. - Dzięki tobie przemyślałam wiele spraw. Wiem na pewno, że nie wyjdę za Chrisa, bo nie mogę być z kimś, kto stopniowo odebrałby mi całą wolność. Ale nie jestem jeszcze pewna, co zrobię dalej ze swoim życiem. Czuję tylko, że wcześniej czy później zacznę myśleć o domu, rodzinie, zatęsknię za tradycyjnymi wartościami. Krótko mówiąc, przelotny romans to nie dla mnie.

- Czy ja ci coś takiego sugerowałem?

- Nie, oczywiście, że nie. Ale ja mówię o tym, co sugerują nasze ciała.

- No tak... Cassie, rozsądek mi mówi, że nie powinniśmy w to dalej brnąć. Ale kiedy z tobą jestem, myślę tylko o tym, jak jest nam dobrze, jak świetnie się bawimy i... jak bardzo chciałbym czegoś więcej.

- Wiem. Ze mną jest tak samo.

- Cassie, mam wrócić do Denver?

- Nie... - Pokręciła wolno głową. - Powinnam ci powiedzieć, żebyś wracał, ale po prostu nie mogę.

- Więc spróbujemy zostać przyjaciółmi?

- Tak, powinniśmy spróbować. - Widząc jego rozpaczliwą minę, uśmiechnęła się pogodnie, wspięła na palce i musnęła wargami jego usta. - A to mój drugi pocałunek. Jesteśmy kwita.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Następny dzień przywitał ich sztormową pogodą. Lał tak ulewny deszcz, że Brian zjawił się w hotelu przemoczony do suchej nitki i Cassie zaproponowała, żeby spędzili przedpołudnie u niej. Kiedy on suszył się w łazience, znalazła gdzieś warcaby i rozstawiła je na małym stoliku w salonie.

Grali kilka godzin, ale zupełnie nie mogła się skoncentrować. Wsłuchana w szum wiatru i monotony stukot deszczu o szyby, zerknęła na wilgotne włosy Briana, jego skupioną twarz, kiedy planował kolejne ruchy na szachownicy. Zdumiewające, myślała, ile pasji wkłada we wszystko, co robi - grę, sport, rozmowę.

Pocałunek. Nic dziwnego, że przy takim rozkojarzeniu przegrywała już piątą partię.

- Cassie, ty się w ogóle nie koncentrujesz! - Zaskakująco niecierpliwym gestem zmiotł z planszy ostatnie jej pionki.

- Przepraszam - powiedziała z potulnym uśmiechem. Koncentrowała się, owszem, ale nie na grze.

Brian wstał, podszedł do drzwi wychodzących na taras i otworzył je na oścież. Powiew ciepłego morskiego powietrza wdarł się do pokoju.

- Zdaje się, że już po deszczu.

- Tak, ale ciągle wieje jak diabli. Może zamkniesz te drzwi i spokojnie usiądziesz?

Odwrócił się i mierzył ją przez moment napiętym wzrokiem. Wyglądała dzisiaj tak kobieco, w biało-różowej pasiastej bluzce i w białych szortach, z włosami związanymi w prosty koński ogon. Wydawała się taka młoda, świeża, naturalnie zmysłowa, jak... czyjaś ukochana, świadoma swojego uroku żona.

W tym ciepłym, domowym otoczeniu zaczynał się rozklejać. Boże, powinien stąd wyjść, zanim bliskość tej kobiety, wspomnienie ich pocałunków -

i widok drzwi sypialni, od której dzieliło ich kilkanaście kroków - sprawią, że straci nad sobą panowanie.

- Cassie, chyba muszę na chwilę wyjść.

- Na taką wichurę?

- To doskonała pogoda na surfing. - Żartujesz.

- Nie. Po prostu muszę wypuścić z siebie trochę pary.

- Mogę spytać dlaczego?

- Naprawdę chcesz znać odpowiedź? Tym razem nie mogę obiecać ci wersji „bez ograniczeń wieku”.

- Aha. - Zarumieniła się. - Jesteś pewien, że to bezpieczne?

- Nic mi się nie stanie.

- Idę z tobą.

- Cassie, to nie jest dobry dzień dla początkujących.

- Nie mam ochoty na surfing, jeszcze nie zwariowałam. Idę po to, żeby w razie czego wezwać straż przybrzeżną.

- Dramatyzujesz - śmiejąc się, podrapał ją pod brodą.

- Brian, ktoś musi cię pilnować.

Nie odpowiedział, bo zbyt go kusilo, żeby zaproponować Cassie tę rolę... na stałe.

- Brian, jesteś pewien, że wiesz, co robisz? - Patrzyła z przerażeniem na ogromne, spiętrzone fale. - Te flagi sztormowe nic dla ciebie nie znaczą?

- Nie bój się, pływałem w gorszych warunkach.

- Poza nami nigdzie nie ma żywej duszy. To też nie daje ci do myślenia?

- Wolałbym, żebyś wróciła do hotelu. Powiedziałem ci, że nie mogę stracić takich fal, ale nie chcę, żebyś się narażała.

- Słucham? Więc ty możesz ryzykować utonięcie w tych potwornych falach, a dla mnie zbyt niebezpieczne jest stanie na brzegu?

- Tak.

- Do diabła, Brian, nie zdajesz sobie sprawy, że gadasz bez sensu?

- Dla mnie to ma sens.

- Korciło cię od rana, żeby poszaleć na tej cholernej desce. Dusza kaskadera, co?

- Cassie, jeżeli chodzi o to, co mnie korciło od rana, to nie masz racji. A teraz już idź. Nic mi się nie stanie.

- Tak, jesteś taki pewny siebie? A kto wezwie pomoc, jeśli będziesz miał kłopoty?

- Nie będzie żadnych kłopotów. - Położył rękę na jej ramieniu. - Proszę cię po raz ostatni, żebyś wróciła do hotelu.

- Nie!

- Więc stój w tym miejscu - wycedził przez zaciśnięte zęby - i nie ruszaj się. Przysięgam, że jeśli podejdziesz bliżej brzegu, skrećę ci kark.

- Jeśli zginiesz, nie będziesz miał szansy.

- Cassie, ja nie żartuję. Żeby nie wiem co, nie wolno ci się zbliżać do wody. Niech ci nie przyjdzie do głowy mnie ratować.

- Ani mi się śni.

- Grzeczna dziewczynka.

Miała ochotę go kopnąć. Wkrótce jednak złość ustąpiła miejsca dławiącemu lękowi. Widziała, jak łapie równowagę na rozhuśtanej desce i nagle porywa go spieniona fala. Na chwilę zniknął jej z oczu, potem znowu wyskoczył w górę i pomknął w stronę horyzontu. Rozglądała się nerwowo, zastanawiając się, co zrobi, jeśli Brian będzie potrzebował pomocy, ale w zasięgu jej wzroku nie było żywej duszy.

Kiedy jej niepokój osiągnął szczyt, Brian pojawił się znowu na grzywie fali. Załamujący się w wodzie snop światła sprawił, że jego wspaniała sylwetka, rysująca się na tle słonecznej poświaty, zdawała się nierealna. Zrobił karkołomny obrót i następna ściana wody wystrzeliła ponad jego głowę. Miała ochotę zabić go za to szaleństwo, ale też nigdy nie widziała czegoś bardziej fascynującego.

- Czy pani chłopak jest rąbnięty?

Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła młodego mężczyznę w stroju ratownika.

- Nie powinien wypływać w taką pogodę, prawda?

- Wie pani, co oznaczają te flagi? - Wyciągnął rękę w kierunku masztu.

- Tak. - Skinęła głową, zerknąwszy z niepokojem na Briana. - Ja wiem, ale mój przyjaciel niestety nie wie. Zdaje się, że dobry sztorm tylko rozgrzewa mu krew.

- Miejmy nadzieję, że przeżyje. Cofająca się fala o takiej sile może zatopić każdego chojraka. A taki prąd jak dzisiaj znosi prosto na tamte skały.

Krzywiąc się, Cassie rzuciła okiem na długi rząd granitowych głazów i wyobraziła sobie piękne ciało Briana zmiażdżone przez falę... Wzdrygnęła się, a po chwili zobaczyła z ulgą, że to piękne ciało dopływa do brzegu.

- Pani chłopak jest psychem, ale ma wyjątkowego farta. - Ratownik pokręcił głową.

- Wiem - zgodziła się ponuro. Rozpromieniony Brian podbiegł do nich z deską.

- O rany, co za jazda!

- Sir... - Ratownik spojrzał na niego wilkiem. - Czy wie pan, że nie wolno pływać w czasie sztormu?

- Tak, przepraszam.

- Proszę, żeby opuścili państwo ten teren.

- Oczywiście, już nas nie ma. Wielkie dzięki.

Milczeli jak zakłęci, dopóki Brian nie zwrócił w wypożyczalni deski. Cassie, z zaciętą miną, patrzyła nieruchomo przed siebie.

- No dobrze, o co chodzi? - spytał.

- O co chodzi? - powtórzyła, wyrzucając ręce w powietrze. - A niby dlaczego ma o coś chodzić?

- Cassie, daj spokój.

- Dobrze. - Zatrzymała się i zagroziła mu drogę. - Jeżeli jeszcze raz spróbujesz zrobić coś tak głupiego, zabiję cię.

- Ooo. To się nazywa jasne postawienie sprawy.

- Dzięki, że traktujesz mnie poważnie.

- Cassie, traktuję cię bardzo poważnie.

- Akurat! Prosiłam cię, ale równie dobrze mogłabym rzucać grochem o ścianę. Czy dla ciebie wszystko musi być hazardem? Nie potrafisz żyć bez codziennej porcji adrenaliny?

- Lubię się dobrze bawić. Widzisz w tym coś złego?

- Tak, jeśli ryzykujesz życie.

- Cassie, tobie mogło się to wydawać ryzykowne, ale ja uprawiałem surfing wyczynowo.

- Więc jesteś mądrzejszy od ludzi, którzy decydują, kiedy wywiesić flagę sztormową, i od ratownika, który powiedział, że mogłeś się rozbić o skały?

- Cassie, niepotrzebnie robisz z tego wielką sprawę. - Nagle stężała mu twarz. - Dlaczego każda kobieta, z którą się wiąże, próbuje mnie kontrolować?

- Z którą się wiążesz? Kto powiedział, że jesteśmy ze sobą związani? Myślałam, że jesteś tutaj, żeby pomóc mi się pozbierać i żeby pogodzić mnie z Chrisem. Poza tym, jeżeli próbuję cię kontrolować, to znaczy, że cholernie potrzebujesz jakiejś kontroli.

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Jesteśmy związani, żebyśmy nie wiem jak starali się do tego nie przyznawać.

Zamilkła, nie znajdując słów na odparcie jego argumentów.

- A jeśli mówimy o wzajemnym kontrolowaniu się - jesteś nie fair, Cassie. Ty też tego nie lubisz. Nie zgadzałaś się, żeby Chris dyktował ci, co masz robić. Głównie dlatego z nim zerwałaś, prawda?

- Tak - przyznała. - Ale rozmawiamy o dwóch różnych rzeczach. Jest wielka różnica między zerwaniem zaręczyn, nawet jeśli zrobiłam to o wiele za

późno, a wariackim narażaniem swojego życia. Zachowujesz się jak psychol o skłonnościach samobójczych, i chciałabym wiedzieć dlaczego.

Milczał, wyjąc w środku z bólu.

- Dlatego, że twoi rodzice nie potrafili używać życia? To z buntu przeciwko nim zostałeś nałogowym ryzykantem?

- Być może, częściowo.

- A jaka jest cała prawda? Masz pragnienie śmierci? Pytanie zawisło w powietrzu i poszli dalej.

- Nie, jasne, że nie - odpowiedział po chwili. - Ale nie boję się śmierci, jeśli o to pytasz.

- To oczywiste, sądząc po tym, co wyprawiasz. Dlaczego się nie boisz?

- Może nie widzę żadnego sensu w zachowywaniu ostrożności.

- Dlaczego?

- W szkole średniej miałem prawdziwego przyjaciela, Jasona. Byliśmy jak bracia. Graliśmy w jednej drużynie futbolowej, razem chodziliśmy po górach, żeglowaliśmy.

- Czyli potrafiliście korzystać z życia.

- Tak. Ale Jason miał jeden słaby punkt - w każdym razie ja tak uważałem. Był fanatycznie ostrożnym kierowcą - naprawdę do przesady. Wiesz, że kiedyś przez całe lato remontował ze swoim ojcem starego trupa, corvette rocznik 63. Auto wyglądało potem jak nowe, a on się trząsał, żeby nie zrobić na nim jednej rysy. Śmiałem się z niego, mówiłem, że jeździ jak stara baba. - Brian wciągnął powietrze i przeczesał palcami włosy. - Pewnego dnia pijany kierowca zabił Jasona i skasował jego samochód.

Dyszząc z przejęcia, Cassie dotknęła jego ramienia.

- Och, Brian, nie wiem, co powiedzieć. Musiałeś to strasznie przeżyć.

- Byłem zdruzgotany. Ale nie w tym rzecz. Powiedz mi, co dała Jasonowi jego ostrożność? Zrozumiałem wtedy, że los jest ślepy - i że życie jest bardzo krótkie i trzeba je przeżyć pełną parą.

- Brian, rozumiem cię. Ale strata kogoś bliskiego nie usprawiedliwia prowokowania losu w taki sposób.

- Cassie, to, że czasami pozwalam sobie na mocniejsze wrażenia, pozwala mi się skupić.

- Takie wariackie wyczyny pozwalają ci się skupić?

- Kiedy człowiek jest na krawędzi bezpieczeństwa, zaczyna widzieć dużo jaśniej niektóre sprawy.

- Co widzisz teraz jaśniej?

Zatrzymał się, odwrócił do niej twarzą i utkwiał badawcze spojrzenie w jej oczach.

- Że sama ta jazda nie była nawet w połowie tak ważna jak to, że czekasz na mnie na brzegu.

- Och, Brian... - Nagle opuścił ją cały gniew.

Wrócili w milczeniu do hotelu i dopiero w windzie Brian powiedział osowiałym głosem:

- Chyba powinienem się zbierać.

- Zbierać się? To znaczy... chcesz wyjechać stąd?

- Tak. Miałaś rację, cała ta moja eskapada jest pomyłką. Zamiast ci pomóc, wszystko jeszcze bardziej komplikuję.

- Brian... To nieprawda. Nie chcę, żebyś wyjeżdżał. Pomogłeś mi, nawet nie wiesz jak bardzo.

- Jesteś tego pewna?

- Proszę, zostań. - Dotknęła jego ręki.

Patrzyli sobie w oczy, kiedy winda zatrzymała się i prawie bezszelestnie rozsunęły się drzwi. Nagle podskoczyli jak porażeni prądem. Oboje wyculi sztyletujący wzrok mężczyzny, który stał metr przed nimi.

To był Christopher Carlisle.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Co za miły widok - powiedział cynicznie.

Wychodząc z windy, Cassie czuła, że pąsowieją jej policzki, jak gdyby ona i Brian mieli coś na sumieniu, a przecież tak nie było. Patrzyła na swojego niedoszłego męża, dostrzegła jego zimny, pogardliwy wzrok, nienaganny strój, ulizaną fryzurę, i po prostu nie rozumiała, jak mogła kiedykolwiek myśleć, że go kocha.

- Chris, co ty tu robisz?

- Och, składam wam towarzyską wizytę - zaśmiał się sztucznie. -

Zabawne, bo właśnie o to samo miałem zapytać Briana. Więc powiedz mi, kuzynie, co tu robisz z moją narzeczoną. Daruję sobie pytanie, dlaczego oboje jesteście półnadzy.

- Ona jest twoją byłą narzeczoną, wracamy z plaży, nie jesteśmy półnadzy - wycedził przez zęby.

- Z plaży, powiadasz? A jaki sport uprawiacie po plaży?

- Chris! - wybuchnęła Cassie, zobaczywszy błyskawice w oczach Briana.

- Jesteś wulgarny!

- Dobrze wiesz - dodał z furią Brian - że Cassie nie zasługuje na tak podłe insynuacje.

- Doprawdy? A co chcesz, żebym powiedział, widząc was w takim stanie, jeśli nawet się kryjecie w swoim miłosnym gniazdku?

Cassie powstrzymała Briana, łapiąc go za rękę.

- Jakim stanie? W jakim miłosnym gniazdku? Jak śmiesz!

- Chris... - Brian był błydy jak ściana. - Lepiej, żebyś to odszczekał natychmiast, i powiedział, jaką masz sprawę.

- To ty mi lepiej powiedz, co tu robisz.

- On przyjechał mi pomóc. - Cassie wciąż trzymała Briana za rękę.

- Wzruszające - burknął Chris. - A mnie się wydaje, że przyjechał pomóc sobie.

- Dosyć tego, Chris. - Brian odsunął delikatnie Cassie. - Wiesz, zawsze się zastanawiałem, dlaczego cię nie lubię. Próbowiałem brać to na rozum, ale zawsze mnie coś od ciebie odrzucało. Teraz wiem na pewno. Jesteś beznadziejnym palantem, kuzynku. I chcę, żebyś natychmiast przeprosił Cassie.

- Ja mam ją przeproszać? - zaśmiał się rehotliwie. - Jeżeli komuś należą się przeprosiny, to tylko mnie.

- Twoje niedoczekanie.

Brian miał morderczy wzrok. Ruszył w stronę Chrisa, ale opanował się, gdy Cassie rozpaczliwie pokręciła głową.

- Może powiesz nam po prostu, co cię tu sprowadza - spytała zduszonym głosem.

- Właściwie chciałem się tylko upewnić, czy między nami wszystko skończone. Miałem nawet nadzieję, że poszłaś po rozum do głowy. Śmieszne, prawda? Okazuje się, że nie traciłaś czasu na myślenie.

- Ostrzegam cię... - Brian pogroził mu palcem. - Jeszcze jedna taka odzywka i długo będziesz zbierał się z podłogi.

- Chris - powiedziała błagalnie Cassie - nie mieszaj w to Briana.

- To ty go w to wmieszałaś.

- Więc może odpowiem ci na zadane pytanie.

- Zdaje się, że już to zrobiliście. - Rzucił pogardliwe spojrzenie Brianowi.

- No dobra, Chris, dosyć tego. Jeśli chcesz się wyładować na mnie, jestem do usług, nie ma sprawy, ale nie obrazisz więcej Cassie.

Przez moment Chris stał z zaciśniętymi pięściami, czerwony na twarzy, potem spojrział na zegarek i machnął lekceważąco ręką.

- Szkoda mojego czasu, spieszę się. Jestem umówiony na wieczór z córką przyjaciół mojej mamy, więc nie będę was dłużej zatrzymywał. Życzę powodzenia w... - zawiesił znacząco głos - ...w czym tylko sobie chcecie.

- Boże, jak mnie korci, żeby pójść za tym idiotą i dać mu nauczkę - mruknął przez zęby Brian, odprowadzając kuzyna wzrokiem.

- Nie, Brian, potrzebuję cię. Wejźmy do środka...

Cassie otworzyła drzwi, wpadła do salonu i z ręką zaciśniętą na szyi zatrzymała się przy oknie. Cholerny Chris! Jak śmiał ją tak poniżyć! Z wściekłości miała ochotę wyć albo się rozplakać. Gdy poczuła na ramieniu ciepłą dłoń Briana, rozkleiła się na dobre i wybuchła rozpaczliwym szlochem.

- Cassie, co z tobą? - Odwrócił ją i przytulił do swojego nagiego torsu. - Nie płacz, proszę cię... Znajdę tego cholernego osła i...

- Nie, nie rób tego. - Podniosła głowę i błagalnie spojrzała mu w oczy. - Pogorszyłbyś jeszcze sytuację. I nie chcę, żebyś się zniżał do poziomu Chrisa.

- Więc dlaczego płaczesz? Może wciąż go kochasz?

- Nie, ale myślałam, że go Kocham. A on jest takim draniem.

- Wiem, maleńka, wiem... - szeptał, gładząc jej włosy. - I pomyśleć, że przyjechałem tu dla niego.

- I dla niego tu zostałeś?

- Och, Cassie.

Patrzyli na siebie, nic nie mówiąc, w końcu Brian przygarnął ją mocniej i odpowiedział namiętnym, znaczącym więcej niż wszystkie słowa pocałunkiem. Tama pękła i oboje dali się ponieść fali zbyt długo tłumionych uczuć. Na wpół świadomie posuwali się w stronę kanapy i razem opadli na miękkie poduszki.

- Cassie... już dobrze, Kochanie. - Tulił ją w ramionach jak dziecko, całując delikatnie włosy i skronie. - Chcę, żebyś o nim zapomniała.

- Jesteś pewien?

- Przysięgam. Nigdy niczego nie byłem bardziej pewien. To pętał, który nie jest cię wart i nie ma pojęcia, co stracił. A ja byłem głupi, że próbowałem mu współczuć. Miałaś rację, że Chris nie ma charakteru. Ten ulizany palant wcześniej czy później zacząłby cię zdradzać.

- Chyba tak, myślałam o tym. Ale nie chcę już mówić o Chrisie. Brian, dokąd to nas...

- Czy masz pojęcie, jak bardzo cię pragnę? - przerwał jej zdławionym głosem.

- Tak.

- Jesteś cudowna. Uwielbiam z tobą być, uwielbiam w tobie wszystko. I chciałbym się z tobą kochać. Ale ciągle mam poczucie winy, bo ty przeżyłaś zawód, a ja nie wiem, czy mogę ci coś dać poza tymi kilkoma dniami...

- Wiem - szepnęła, patrząc mu odważnie w oczy.

- Ale to, co do ciebie czuję, jest tak silne - i myślę sobie, że moglibyśmy przeżyć coś wyjątkowego... na swój sposób.

- Tak, Brian. - Uśmiechając się przez łzy, ujęła w dłonie jego twarz. - Tak. Ja też tego chcę.

- Cassie, jesteś pewna?

- Tak, absolutnie pewna. - Uniosła się na łokciu i pocałowała jego nagie tors. - Nawet jeśli mamy niewiele czasu.

Zanurzyła palce w jego wilgotnych, skręconych włosach. Brian rozbierał ją z niemym zachwytem na twarzy. Wyprężyła się i cichym pomrukiem zadowolenia przywitała jego ciepłe wargi posuwające się od szyi do piersi, wilgotny język krążący wokół stwardniałych sutków.

- Marzyłem o tym od pierwszego dnia... - wymruczał.

- Ja też. Ale w najśmielszych snach nie wyobrażałam sobie, że będzie tak...

- Och, Cassie.

Zaśmiał się ciepło i wrócił do jej ust. Spragniona, nie mogła opanować drżenia, błędziła palcami po jego plecach, wreszcie przesunęła dłoń na brzuch, coraz niżej... Brian ścisnął jej rękę i przewrócił się na plecy.

- Poczekaj, kochanie.

Krótkie oddalenie, kiedy zrzucił z siebie kąpielówki i wyjmował z opakowania kondom, zdawało się Cassie wiecznością. Westchnęła z ulgą, tonąc na powrót w jego ramionach, zagarnięta nagimi, gorącymi udami.

- Jesteś taka piękna, Cassie - szeptał. - Zapomniałaś już o nim?

- Tak... Och, Brian...

Nie odrywając wzroku od jej twarzy, wsunął palce między zaciśnięte uda, a potem jednym pchnięciem wszedł w nią i opadł zachłannym pocałunkiem na jej usta. Zaczął poruszać się wolno, jakby rozkoszując się pierwszym nasyceniem.

- Tak jest dobrze?

- Bosko... - szepnęła zmienionym głosem, odpowiadając mu delikatnymi ruchami bioder, witając kolejne fale przyływu i przedsmak euforii.

Nagle, w sposób dotąd nieznan, zaczęła czuć wszystko dotkliwiej: odurzający zapach ich ciał, bicie serca, grę mięśni. Zaciśnęła palce na jego ramionach i wyprężyła się jak struna.

Zaczął pędzić jak szalony, porywając ją ze sobą. Nagle przyłgnęli do siebie mocniej. Z ust Cassie wydobył się jęk rozkoszy i to, na co czekali, nadeszło. Brian opadł na nią bez tchu, szczęśliwy i uspokojony.

Gdy umościli się na wielkim łożu w sypialni, Brian przyniósł z kuchni butelkę wina.

- Jak się czujesz? - spytał z uśmiechem, wręczając jej kieliszek.

- Cudownie.

- Wiesz, że to było niesamowite... - szepnął, głaszcząc jej rękę.

- Tak. Jak tamte fale, na których próbowałeś skrócić kark - zachichotała.

- Nie umywają się do ciebie.

- Jesteś bardzo uprzejmy... - spoważniała nagle i opuściła wzrok. - Wiesz, z Chrisem...

- Tak?

- On... No wiesz... on nigdy się nie przejmował, czy... czy mnie jest dobrze.

- Jeszcze jeden powód, żeby nie żałować drania.

- Więc nie masz już wyrzutów sumienia?

- Najmniejszych. - Uniósł kieliszek. - Za rozstanie z wyrzutami sumienia.

- Przyłączam się do toastu.

- Czy nie powinniśmy spalić twojego starego bikini?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - Wybuchła śmiechem.

- Po jego wizycie. Pomyślałem, że przydałoby się nam takie symboliczne unieczyszczenie mojego nieudanego kuzyna. I co ty na to? Robimy ognisko?

- Nie, chyba nie. Wolalabym oddać swoje bikini akcji charytatywnej. Chris nic już dla mnie nie znaczy. Dlaczego miałabym palić z jego powodu kostium, który może się komuś przydać?

- Brawo, to mi się podoba. A jeśli o mnie chodzi, możesz oddać całą swoją garderobę. Im mniej masz na sobie, tym lepiej.

- Brian! - Uderzyła go żartobliwie w ramię. - Daj spokój, szybko by cię zmęczyło wylegiwanie się ze mną na golasa w łóżku.

- Chcesz się przekonać? - Przewrócił ją na plecy i spojrzał żarliwie w jej jasne oczy. - Cassie, masz rację, że jestem trochę narwany i że łatwo się rozpraszam. Ale zapewniam cię, że z tobą w łóżku potrafię się skupić na bardzo długo.

Co udowodnił jeszcze tego samego popołudnia, ku pełnemu zadowoleniu Cassie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

O zachodzie słońca Cassie i Brian, trzymając się za ręce, spacerowali boso po plaży. Wiatr w końcu osłabł, podobnie jak burza ich namiętności, która wybuchła tak gwałtownie, a potem równie naturalnie ucichła. Srebrzyste fale toczyły się ku nim łagodnie od znaczonego różowo-złotą poświatą horyzontu. W przybrzeżnym kąpielisku pojawiło się kilku pływaków i amatorów surfingu, na plaży grupa rozkrzyczanych dzieci rzucała plastikowym dyskiem.

- Chcesz o tym porozmawiać? - spytał Brian.

- O tym? To znaczy o nas?

- O nas - powtórzył dobitnie, jakby delektując się tym słowem. - Ciekawe, że tak szybko to się potoczyło.

- Mniej więcej tak, jak przewidywaliśmy, prawda? Gwałtowne zaiskrzenie, samoistny wybuch.

- I to wszystko? - spytał z urażoną miną. - Uważasz, że to tylko sprawa hormonów?

- Oczywiście, że nie... - Ścisnęła jego dłoń. - Zdarzyło nam się coś wyjątkowego, Brian. Jest nam ze sobą cudownie, dobrze się bawimy, ale nie powinniśmy się łudzić, że to znaczy więcej niż...

- A co znaczy? - Jego głos drżał z napięcia.

- Zauroczenie sobą dwojga ludzi - mówiła cicho, starannie dobierając słowa - którzy potrzebują się nawzajem. Coś, co prawdopodobnie nie potrwa zbyt długo. Czy sam mi kiedyś nie powiedziałeś, że im większy ogień, tym szybciej się wypala?

- No ładnie - mruknął - prześladują mnie własne słowa.

- Słowa, w których jest chyba sporo prawdy.

- Dlaczego uważasz, że to się wypali?

- A może być inaczej? - spytała z żalem. - Wkrótce wracasz do Denver. Powiedziałeś mi już, że nie ciągnie cię do małżeństwa. A ja nie mogę myśleć o poważnym związku w kilka dni po zerwaniu poprzedniego, który - jak mi się wydawało - miał być na całe życie.

- To wszystko? - zapytał ironicznie. - Naprawdę uważasz, że to nie przetrwa próby czasu?

- A twoje kłopoty z dłuższą koncentracją...?

- Cassie... - Przygarnął ją ramieniem i pocałował. - Od chwili, kiedy cię zobaczyłem, myślę tylko o tobie.

- Och, Brian, a ja o tobie. Ale cieszymy się tym, co mamy, i lepiej nie spodziewajmy się niczego więcej.

- Dobrze - odparł ze ściśniętym gardłem. - Jedyne problem w tym, że ja już chcę więcej.

Ona też chciała więcej i cierpiała na samą myśl, że niedługo się rozstaną. Ale wciąż sobie tłumaczyła, że Brian, z natury wolny jak ptak, z całą swoją spontanicznością, poczuciem humoru i żądzą przygód - nie byłby szczęśliwy w żadnym stałym związku. Starła się cieszyć każdą spędzoną z nim chwilą i nie chciała więcej. A jednak w głębi duszy podejrzewała, że wymaga od siebie zbyt dużo.

Brian przeżywał podobne katusze. Ich zbliżenie było dla niego czymś znacznie więcej niż zaspokojeniem fizycznego pożądania. Pragnął jej ciałem i duszą, jak żadnej innej kobiety w swoim życiu. I sam fakt, że Cassie zniechęcała go do myślenia o trwalszych więzach między nimi, sprawiał, że on się do tych więzów coraz bardziej garnał. Podejrzewał oczywiście, że ich wspólna przyszłość nie byłaby łatwa. Nigdy sobie nie wyobrażał życia podporządkowanego jednej kobiecie, ale druga możliwość - rozstanie z Cassie na zawsze - wydawała mu się torturą. Myśl o innym mężczyźnie biorącym ją w ramiona budziła w nim wstręt.

Co mógł zrobić? Nie mógł jej mieć i nie mógł pozwolić jej odejść...

Cassie upajała się każdym kolejnym dniem spędzonym z Brianem. Spacerowali godzinami po plaży i pływali. Przejechali się zabytkowym trolejbusem, a następnego popołudnia wypożyczyli terenowy samochód i wybrali się na pobliskie wydmy. Przesiadali w miejskich knajpkach. Wiedli niekończące się rozmowy. Kochali się.

W niedzielny wieczór, ostatni przed planowanym wyjazdem z Galveston, zjedli kolację w restauracji rybnej, a potem wsiedli do kabrioletu z odsłoniętym dachem i jechali bez celu nadbrzeżną promenadą, oglądając zachód słońca. Cassie oparła głowę na ramieniu Briana i patrzyła na olśniewający, różowo-złoty horyzont, wdychając głęboko słone powietrze. Nastrój był tak romantyczny.

Po zapadnięciu zmroku zatrzymali się przed małym zajazdem z oświetlonym kolorowymi lampionami patio. Cassie czekała przy małym stoliku, wpatrzona w wiszący nad zatoką księżyc, gdy Brian wrócił z baru z dwoma kuflami piwa.

W tej samej chwili kapela w środku zagrała popularną melodię „Mogłabym się zakochać” w rytmie calypso.

- Uwielbiam tę piosenkę - westchnęła,
- Ciekawe dlaczego?

Bo jestem w tobie zakochana, pomyślała, ale nie miała odwagi powiedzieć tego na głos.

- Zatańczymy?
- Jasne.

Wstali i utonęli w swoich ramionach. Cassie upajała się tą chwilą, wiedząc, że być może jej wspomnienie będzie musiało jej wystarczyć na zawsze. Chłonęła zapach Briana, jego ciepło, taneczne ruchy, zmysłową muzykę, szum fal.

Próbowała sobie tłumaczyć, że to, co czuje, jest tak cudowne, że nie powinna oczekiwać od losu niczego więcej. Próbowała sobie tłumaczyć, że ta noc zostanie w jej sercu na zawsze - a jednak pragnęła więcej.

Brian myślał tylko o tym, że nie chce jej stracić, że chciałby ją tak trzymać w ramionach do końca życia. Ale wciąż bał się, że nie będzie w stanie pokonać swoich słabości i że nigdy nie stanie się odpowiedzialnym mężem, na jakiego Cassie zasługuje.

- O czym myślisz, Cass?

- O tym, że jest tu tak romantycznie - uśmiechnęła się blado. - Księżyc, plaża, zapach morza...

- Piękna kobieta w moich ramionach.

- Wspaniały mężczyzna w moich.

- Cassie... - Uścisnął ją mocno i przytulił policzek do jej włosów. - Będzie mi ciebie strasznie brakowało.

- A mnie ciebie.

- Żebym tak nie musiał jutro wracać... Może zadzwonię do szefa...

- Ale czy później nie będzie jeszcze trudniej?

- Nie wiem. Ale mieliśmy za mało czasu.

- Tak, ale z drugiej strony... może lepiej rozstać się teraz, kiedy jest tak cudownie, niż czekać, aż nasze uczucia umrą śmiercią naturalną.

- Dlaczego się upierasz, że to musi umrzeć?

- Jesteśmy tak różni, Brian... Jak woda z ogniem.

- Naprawdę tak myślisz? Przecież było nam dobrze.

- Tutaj, w tym świecie jak z bajki. Ale czas zejść na ziemię, stawić czoło rzeczywistości i wszystkim kłopotom, które by nas czekały, gdybyśmy zechcieli to ciągnąć.

- Nie przekonamy się, na co nas stać, jeśli nie spróbujemy.

- To fakt.

- Kiedy możesz przyjechać do Denver?

- Nie wiem...
- Na następny weekend?
- Brian... naprawdę nie wiem, czy to ma sens.
- Jest tyle miejsc, które chciałbym ci pokazać - góry, moje ulubione szlaki.
- Wspaniale... chociaż nie jestem tak fanatyczną amatorką włóczędzy jak ty.
- Nie ma sprawy. W Denver są świetne restauracje, sklepy, teatry, co tylko chcesz.
- Chcesz powiedzieć, że gotów jesteś nawet połączyć ze mną po sklepach? To szczyt desperacji.
- W każdym razie robienie zakupów już nigdy nie będzie tym samym... bez ciebie.
- Och, Brian, to najbardziej wzruszające słowa, jakie od ciebie usłyszałam.
- Cassie, może byśmy się spakowali do jednej walizki...?
- A ty myślałeś o przeniesieniu się do Houston? - zapytała ze śmiechem.
- Czy ja wiem... Miło jest mieszkać tak blisko zatoki, ale strasznie tu płasko.
- To znaczy, że gdybyśmy chcieli być razem, to ja musiałabym porzucić swoją rodzinę, spakować manatki i pójść na wszystkie ustępstwa? - spytała zmienionym głosem.
- Niekoniecznie...
- Więc jak to sobie wyobrażasz? Związek na odległość? Oboje wiemy, że nic dobrego by z tego nie wyszło.
- Tak, wiem - westchnął bezradnie. - Ale, do diabła, Cassie, mieliśmy za mało czasu, nie chcę cię stracić.
- Nie chcesz mnie stracić, ale też nie jesteś skłonny do żadnych poświęceń, prawda?
- Gdybym był skłonny... zdecydowałabyś się w tej chwili?

- Nie - przyznała ze smutnym uśmiechem.
- Nie mogę pozwolić ci odejść. - Objął ją mocniej i schował twarz w jej włosach.
- Będziesz musiał, Brian - szepnęła. - Będziesz musiał.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Następnego ranka żegnali się czułym uściskiem, stojąc na hotelowym parkingu między dwoma samochodami.

- Mam obydwa numery twoich telefonów - Brian mówił z nerwowym ożywieniem - adres domowy, adres biura, e-mail - żebyś tak jeszcze mógł mieć ciebie w bagażu podręcznym... Na pewno nie chcesz być pasażerem na gapę, Cass?

- Będziesz mnie miał w swoich myślach - zaśmiała się pogodnie.
- I w snach. Więc spotykamy się w pierwszy weekend września, jeśli nie wcześniej?

- Brian... tak, jasne. Ale prawdę mówiąc, nie wierzę, żeby czekał nas jakiś wspólny weekend.

- Dlaczego nie? - zapytał z irytacją.
- Po pierwsze, czy masz zamiar żyć jak mnich do tego czasu?
- Boże, to tylko dwa miesiące! Nie ufasz mi, Cassie?
- To nie jest tylko sprawa zaufania. Po prostu liczę się z tym, że poczujesz się samotny i znajdziesz kogoś wcześniej, niż ci się wydaje. Pewnego wieczoru zadzwonisz do mnie i powiesz zakłopotanym głosem, że może jednak nie powinniśmy się spotykać.

- Mylisz się.
- To nie jest takie łatwe, Brian.
- Mówisz za siebie?

- Nie. Ale... - westchnęła bezradnie. - Może to wszystko stało się za wcześnie.

- Więc już żałujesz?

- Nie, niczego nie żałuję, ale powinniśmy dać sobie trochę czasu, żeby przekonać się, czy to coś więcej niż wakacyjna przygoda.

- Nie mów tak. - Przytulił ją mocniej. - Dla mnie to o wiele więcej. Zadzwoń do ciebie wieczorem z Denver.

- Dobrze... Chcę tylko, żebyś wiedział, że naprawdę mi pomogłeś. Bez względu na to, co się wydarzy między nami w przyszłości, czuję, że dzięki tobie zaczęłam sobie uświadamiać, czego chcę od życia.

- I czego chcesz? - zapytał cicho.

Kogoś takiego jak ty. Powstrzymała się, żeby nie wypowiedzieć tych słów na głos, wiedząc, że im obojgu sprawiłoby to jeszcze więcej bólu.

- Och, pokazałeś mi, jak żyć na większym luzie, nie przejmować się drobiazgami, nie bać się, co pomyślą ludzie, cieszyć się każdą chwilą...

- Cieszę się, Cassie - odpowiedział szczerze. - Ale mam wrażenie, że dostałem od ciebie dużo więcej, niż mogłem dać.

- To mamy identyczne, choć odwrotne wrażenia.

Po ostatnim uścisku i czułym pocałunku odwrócili się i wsiedli do swoich samochodów.

W chwili kiedy rozjechali się na skrzyżowaniu i Cassie zniknęła mu z oczu, Brian poczuł rozpaczliwy, dławiący gardło żal. Został sam ze swoimi myślami i ze swoim sumieniem, i musiał przyznać w duchu, że mimo jego śmiałych deklaracji, to ona mówiła prawdę. Ich dzisiejsze rozstanie mogło być rozstaniem na zawsze.

Dlaczego zdecydował się wyjechać, kiedy w głębi serca jedyne, czego pragnął, to być z nią? Czy wciąż się obawiał, że sprawi jej zawód? Czy raczej panicznie bał się angażować - ryzykując, że zostanie kiedyś głęboko zraniony, jak wtedy, gdy stracił Jasona?

Ale czy teraz nie czuł się zraniony? Cassie żyła. Wracała do swojego własnego świata - sama. Ale wątpił, czy długo wytrwa w samotności. Znajdzie się jakiś inny facet, lepszy od niego, który doceni szczęście, jakie mu zsyła los. Ktoś inny będzie ją trzymał w ramionach, całował, kochał ją.

Boże, sama myśl o tym doprowadzała go do szaleństwa. Co miał ze sobą zrobić?

W chwili kiedy Cassie przekroczyła próg swojego mieszkania, martwa cisza i pustka poraziły ją niczym cios między oczy. Pierwsze, co zauważyła, to były stosy nieodpakowanych prezentów ślubnych na kanapie i stoliku. Zawyla. To była ostatnia rzecz, jaką chciała zobaczyć. Oczywiście wszystko musiała zwrócić, z przeproszającymi wyjaśnieniami, ale nie była w stanie zabrać się do tego od razu. Chwyła kilka pudełek i zaczęła je wrzucać do szafy.

Potem trafiła wzrokiem na zdjęcie Chrisa, stojące na małym stoliku przy oknie. Jego uśmiechnięta twarz zdawała się z niej drwić. Rzuciła się przez cały pokój, żeby schować je do szufladki.

W końcu opadła na kanapę i zamknęła oczy, powstrzymując łzy. Nie mogła uwierzyć, jak bardzo zmieniło się jej życie w tak krótkim czasie.

Tydzień temu gotowa była wyjść za mężczyznę, którego, jak jej się wydawało, kochała. Potem uciekła od niego i znalazła kogoś, kogo pokochała naprawdę. Po to, żeby stracić i jego.

Zerwała się na nogi i próbowała się czymś zająć. Postanowiła wypakować torbę i kiedy wyjęła z niej kostium kąpielowy, który kupiła w Galveston - ten, który miała na sobie jeszcze wczoraj, kiedy kochała się z Brianem - zaczęła cicho szlochać. Przerzuciła pocztę, zastanawiała się, czy nie zadzwonić do rodziców albo do Lisy, ale jakoś nie miała odwagi.

Dźwięk dzwonka przyprawił ją o gęsię skórkę, bo w pierwszej chwili pomyślała o Chrisie. Otworzyła drzwi i zobaczyła pęk kolorowych balonów z napisami „Witaj w domu”, a potem wychylającą się zza nich męską twarz z kocim uśmiechem.

- Brian!

- Witaj w domu, Cassie. - Wcisnął jej do ręki balony. - Masz minę, jakbyś zobaczyła ducha.

Niewymowna radość wypełniła jej serce.

- Kiedy usłyszałam dzwonek, przestraszyłam się, że to może być Chris.

- Zadowolona, że to ja?

- Och, Brian, nie masz pojęcia, jak się cieszę. - Wypuściła balony i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Ja też, kochanie.

- Ale co się stało? Odwołali twój lot?

- Nie mogłem wsiąść na pokład, Cassie - powiedział drżącym głosem.

- Boże, a twoja praca?

- Zadzwoń do szefa i poproszę, żeby przedłużył mi urlop. Zresztą, jak będzie kręcił nosem, może mnie wylać.

- Ale dlaczego wróciłeś?

- Dlaczego? Muszę ci tłumaczyć? - Zamknął za sobą drzwi. - We mnie to się jeszcze nie wypaliło.

- Och, Brian... Tak bardzo mi ciebie brakowało.

- Więc chcesz się tu zatrzymać?! - zawołała Cassie ze swojej nienagannie schludnej kuchni, zajęta przyrządzaniem mrożonej margarity, podczas gdy Brian rozglądał się po przylegającym pokoju dziennym.

Uśmiechnął się pod nosem. Był tak szczęśliwy, że jednak przyjechał za nią i że mógł z nią pobyc w jej własnym prawdziwym domu. Ten pokój nie mógł należeć do nikogo innego - jasny i ciepły, z niebieskimi tradycyjnymi kanapami, z obrazami na ścianach, które przedstawiały staromodne sceny rodzinne. Nie mógł się powstrzymać i podniósł haftowaną poduszkę, przekonany, że wyczuje zapach włosów Cassie, jej perfumy. Ogarnęło go przejmujące wzruszenie. Podziwiając starą singerowską maszynę do szycia, wyobraził sobie siedzącą przy niej kobietę swojego życia. Potem zatrzymał się

przed etażerką wypełnioną mnóstwem zabawnych porcelanowych bibelotów. Cassie musiała uwielbiać antyki. Gdyby podróżowali razem, z pewnością ciągnęłaby go do każdego mijanego sklepu ze starociami. Ale jakoś ta perspektywa wcale nie wydała mu się przykra.

- Brian, gotowe! - zawołała, wrywając go z zamyślenia, i wkroczyła do pokoju z mrożoną margaritą na srebrnej tacy.

- Za nas! - Podniósł szklanke i zlizął z jej brzegu sól.

- Za nas! - Zgodziła się z uśmiechem. - Więc potrzebne ci jakieś lokum czy nie?

- Właściwie zarezerwowałem już pokój w hotelu...

- Aha. - Miała wyraźnie zawiedzioną minę.

- Pewnie, że chciałbym skorzystać z twojego zaproszenia, ale zastanów się. Byłoby głupio, gdyby wpadła tu twoja mama i zobaczyła moje buty pod stołem.

- Co za rycerskość! - Cassie rozpromieniła się. - To miłe, że dbasz o moją reputację. I chyba słusznie - dostarczyłam swojej rodzinie wystarczająco dużo silnych wrażeń.

- Nie martw się, kochanie, będziemy mieli dla siebie mnóstwo czasu.

- Liczę na to. Do kiedy przedłużyłeś urlop?

- Z trudem udało mi się wyżebrać jeszcze jeden tydzień - westchnął.

- Brian... - Uśmiech zgasł na jej twarzy. - Nie chcę, żebyś stracił pracę.

- Cassie, a ja nie chcę stracić ciebie.

Kiedy pochylił się, żeby przypieczętować swoje wyznanie pocałunkiem, zadzwonił telefon.

- Halo? - Cassie, nieco zdenerwowana, podniosła słuchawkę.

- Cassie, wróciłaś!

- Cześć, Lisa.

- Co za ulga w głosie. Myślałaś, że to Chris?

- Aha... Nic się nie da przed tobą ukryć.

- I jak twoje samopoczucie?
- Trudno o lepsze. - Zerknęła na Briana, który przyglądał się jej bacznie, sącząc drinka.
- Wciąż nie żałujesz, że wystawiłaś Chrisa do wiatru?
- Ani trochę.
- Szczerze mówiąc, wcale ci się nie dziwię.
- Naprawdę?
- Wyobraź sobie, że wpadłam kiedyś na tego palanta. Jest na ciebie strasznie wściekły. Powiedział, że był w Galveston i że puszczasz się tam z jego kuzynem.
- Co za cham! - Cassie spaşowiała ze złości.
- Więc to nieprawda? - Lisa miała wyraźnie zawiedziony głos. - Pomyślałam sobie w kościele, że ten kuzyn jest bardzo miłutki.
- Jest. - Cassie zerknęła wymownie na uśmiechniętego Briana.
- Cassie, zaczynasz mnie wkurzać! Nie opowiesz mi o szaleństwach w Galveston?
- Nie.
- Rozumiem, nie chcesz gadać przy swoim Romeo.
- Lisa, przestań.
- No dobrze, dam wam spokój. Chciałam ci tylko powiedzieć, żebyś nie przejmowała się swoim dupkowatym Chrisem. Widziałam go z dwudziestoletnią laską, którą podobno naraiła mu jego mamusia. Na moje oko, coś z tego będzie. Panienka patrzy w niego jak w obraz.
- Trzymam za nich kciuki.
- Brawo, chyba rzeczywiście jesteś w dobrym nastroju. Nie zawracam ci głowy, leć do kuchni czarować swoje margarity dla boskiego kuzyna Chrisa.
- Lisa!
- Przyznasz, że wciąż umiem czytać w twoich myślach.
- Przyznam.

Cassie odłożyła słuchawkę i parsknęła śmiechem.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał Brian.

- Ona jest czarownicą. Wiedziała, że tu jesteś i że robię dla ciebie margarity.

- Aaa... Więc to jest twój wypróbowany sposób uwodzenia.

- Osioł! Lisa wie, że uwielbiam margaritę. Ty też to wiedziałeś...

Pamiętasz, co mi zamówiłeś przed naszym pierwszym lunchem?

- Uhm... Ale Lisa powiedziała ci też coś przykrego.

- Tak. Chris zwierzył się jej, że był w Galveston i wie, że się „puszczam” z tobą.

- Bydlak! Powinienem go jednak...

- Daj spokój, Brian. Możemy o Chrisie zapomnieć. Zaczął się pokazywać w mieście z nową dziewczyną. Młoda, ładna, zapatrzona w niego i akceptowana przez mamusię. Koniec z naszymi wyrzutami sumienia!

Brian objął Cassie i uczcił radosną wiadomość namiętnym pocałunkiem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Cassie sama nie mogła zrozumieć, skąd ma tyle energii i entuzjazmu do pracy, kiedy następnego dnia, po miłosnej nocy z Brianem, wróciła do biura. Uśmiechnęła się pod nosem. Może chciała jak najszybciej uporać się z obowiązkami, żeby do niego wrócić.

Okazało się jednak, że po tygodniowej nieobecności czekało na nią tysiąc spraw do załatwienia, dziesiątki telefonów, spóźnione projekty i trudne spotkanie z najpoważniejszym klientem, ponieważ jej asystentka zapomniała mu przesłać propozycję kampanii reklamowej.

Nie mówiąc o tym, że wszyscy w biurze byli niezmiernie ciekawi, dlaczego Cassie porzuciła przed ołtarzem Chrisa. Najbardziej bezceremonialnie zachował się jej szef.

- Cassie, co u ciebie? - Wetknął głowę do jej gabinetu wczesnym rankiem.
- Wspaniale, Mark.
- A jak się udał samotny miesiąc miodowy?
- Długo by opowiadać... - uśmiechnęła się tajemniczo.
- A wiesz, że obstawiliśmy trzy do jednego, że przzerwiesz urlop i wrócisz wcześniej do pracy?
- Więc przegrałeś?
- Niestety - przyznał ze śmiechem. - Hej, ale wyglądasz na spiętą. Na pewno jesteś już gotowa wrócić do harówki?
- Tak. Pokaż mi kogoś z agencji reklamowej, kto nie jest spięty.
- W porządku, sama wiesz najlepiej. I... gdybyś chciała kiedyś pogadać o tym, co wydarzyło się na ślubie...
- Jesteś pierwszy w kolejce - zakończyła chłodno.
- Trzymam cię za słowo!

Przed południem zjrzało do niej kilku innych współpracowników i każdy pod zmyślonym pretekstem, mniej lub bardziej subtelnie, próbował z niej wydusić, dlaczego uciekła z własnego ślubu. Wykręcała się skutecznie, tymczasem telefon na biurku dzwonił bezustannie.

- Słucham? - spytała niecierpliwie po jakimś dwudziestym dzwonku.

- O rany - usłyszała niski głos - chyba masz trochę dosyć. Może byś wyskoczyła ze mną na lunch?

- Brian, gdzie jesteś?

- Kilka przecznic od twojego biura. Przebiegłem się już po Parku Hermana, zaliczyłem zoo i strasznie mi się nudzi.

- Zazdroszczę ci. Niestety, jestem zawałona robotą. Po lunchu mam strategiczne spotkanie z klientem, którego urabiam od dwóch lat.

- Szkoda, znalazłem przytulną meksykańską knajpkę, do której chciałem cię zabrać. Na pewno nie możesz się wyrwać?

- Nie ma mowy. Spotkamy się u mnie na kolacji.

- Spiesz się i wracaj do mnie, Cassie. Buziaki.

Przez chwilę kusilo ją, żeby wybiec z biura, rzucić pracę i po prostu znaleźć Briana. Uśmiechnęła się. To byłoby w jego stylu. Działać pod wpływem impulsu, i do diabła z konsekwencjami. Brian zmienił ją, ale nie do tego stopnia. Dla niej wciąż liczyło się poczucie obowiązku. Niestety.

Pół godziny później Cassie była w sali konferencyjnej, przygotowując się gorączkowo do spotkania, kiedy dobiegły ją odgłosy dziwnego ożywienia w korytarzu. Po chwili zobaczyła w uchylonych drzwiach zdumioną twarz swojej asystentki.

- Cassie, nie uwierzysz... - Jen potrząsnęła głową. - Przyjechali z twoim lunchem.

- Z moim lunchem?!

Jen otworzyła szeroko drzwi i pięciu mężczyzn wkroczyło do środka - pierwszy kelner, w nienagannie białym uniformie, a zanim kapela mariachi -

czterech wąsatych Meksykanów, dwóch gitarzystów i dwóch trębaczy, w błyszczących strojach i kapeluszach sombrero. Zanim Cassie zdążyła otworzyć usta, rozbrzmiała muzyka, a kelner postawił na stole konferencyjnym wielką torbę, z której zaczął wyjmować srebrne pojemniki z jedzeniem.

- Mogę zapytać...? - Ze zdumienia głos uwiązł jej w gardle.

- Seniorita - uśmiechnął się mężczyzna - pewien dżentelmen, który jest pani wielbicielem, przysłał pani lunch.

- Cassie, kto to przysłał? - nie wytrzymała Jen. - Niemożliwe, żeby Chris...

- Nie, na pewno nie on - odpowiedziała ze śmiechem. - Chris nigdy nie miał takiej fantazji. No dobrze - machnęła ręką - chodźcie tu wszyscy i pomóżcie mi to zjeść.

- Cześć, jak było w pracy? Smakował ci lunch? - spytał z szatańskim uśmiechem Brian jeszcze przed progiem.

Cassie wciągnęła go za rękę do środka, popchnęła na kanapę i uraczyła żarliwym, długim pocałunkiem.

- No, no.... - mruknął później, topiąc w jej oczach promienne spojrzenie. - Będę musiał przysyłać ci lunch codziennie.

- Wiesz, jak o mnie teraz plotkują? - Na próżno starała się przybrać surowszy wyraz twarzy.

- Chcesz powiedzieć, że w agencji reklamowej nie doceniają twórczej fantazji?

- Zgoda, tobie jej nie brakuje. Może powinieneś mieć moją pracę. - Pocałowała go w brodę. - Jesteś niesamowity, Brian. Sprawiles mi wielką frajdę.

- Zawsze do usług.

- A jak spędziłeś resztę dnia?

- Włoczyłem się po mieście i kupiłem dla nas bilety na mecz.

- Mecz baseballowy? Na dzisiaj? Brian, jestem wykończona!

- Po kolacji będziesz jak nowa, zobaczysz. A wiesz, że przypomniałem sobie już po południu, że jeden z moich kumpli z akademika, Chuck Reinhardt, zapuścił korzenie w Houston. Udało mi się go znaleźć. Wyobraź sobie, że facet ma już trójkę dzieci.

- No to co?

- On był zawsze prymusem, ale zdziwiłem się dlatego, że w college'u strasznie balował, nie zapowiadał się na domatora. W każdym razie Chuck uwielbia narty wodne i zaprasza nas nad swoje ulubione jezioro. Jak myślisz, mogłabyś się urwać któregoś dnia trochę wcześniej z pracy?

- Brian, naprawdę jestem zmęczona. I muszę zwrócić te cholerne prezenty.

- No, maleńka, nie rozczulaj się nad sobą, wszystko zdążysz zrobić. Już wiem! - Strzelił palcami i podniósł się z kanapy. - Co byś powiedziała na orzeźwiający prysznic przed kolacją?

- Prysznic dla dwojga? - zmrużyła oczy.

- Nareszcie zaczynasz mówić z sensem.

Pod koniec tygodnia Cassie doszła do wniosku, że przez te kilka dni mimowolnie popadli w rutynę. Brian był w ciągłym ruchu, wynajdował sobie ekscytujące zajęcia, codziennie dzwonił do niej do biura z propozycją, żeby rzuciła wszystko i pojeździła z nim konno albo wybrała się do Centrum Kosmicznego. Wydawał się zupełnie nie rozumieć, że praca pochłania większość jej czasu, że nie może odwoływać spotkań z klientami i że wieczorami jest po prostu zmęczona.

W łóżku nadal było im fantastycznie, z radością spotykali się na kolacji, żartowali, ale atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Cassie bała się tego od początku - że Brian ze swoją żywiołową naturą nie zaakceptuje wymogów i ograniczeń jej codziennego życia.

- Wiesz, co dzisiaj zrobiłem? - zapytał pojednawczym tonem, kiedy po raz kolejny nie zgodziła się zwolnić z pracy po to, żeby pojechać z nim i z

Chuckiem na narty wodne. - Zadzwoń do swojego szefa i powiedz mu, że nie wrócę w poniedziałek.

- Co? Znowu zmieniłeś rezerwację na samolot? I co na to twój szef?

- Tym razem był naprawdę wściekły. Powiedział, że albo jestem w pracy w czwartek rano, albo mnie wylewa.

- I co mu odpowiedziałeś?

- Że jestem bankowo w czwartek.

Cassie pokręciła tylko głową.

- Nasz związek jest dla mnie ważniejszy od tej czy innej pracy.

- To nie fair, Brian.

- Dlaczego? Bo ty jesteś dla mnie najważniejsza?

- Nie! Dlatego, że się bardzo różnimy. Życie to coś więcej niż jedne niekończące się wakacje. Lubię się bawić jak większość ludzi, ale muszę mieć wszystko poukładane, mieć czas na pracę i na inne obowiązki. Nie potrafię żyć inaczej. Ty z kolei jesteś hazardzistą, widzisz wszystko w perspektywie jednego dnia i nie ma dla ciebie ważniejszych rzeczy niż własne zachcianki. Zawsze musisz przeciągać strunę.

- Chyba nie masz racji.

- Chyba mam! Nawet z szefem musisz się bawić w kotka i myszkę.

Prowokujesz go do granic wytrzymałości, potem nagle podwijasz ogon i jesteś z siebie bardzo zadowolony. Może ciebie to podnieca, ale ja nie mogę żyć w ten sposób.

Brian westchnął. Cassie miała rację, że zachował się bezmyślnie i prowokująco wobec szefa. Na pewno winien był mu przeprosiny. Ale to nieprawda, że powodowały nim bezmyślne zachcianki. Był zdesperowanym człowiekiem, który uciekł się do desperackich kroków, zostając tutaj i narażając się na utratę pracy, ponieważ bał się panicznie utracić Cassie.

Następnego wieczoru Cassie była już w domu, kiedy Brian wrócił z jeziora, gdzie miał się wyszaleć z Chuckiem na nartach wodnych. Gdy przywitał

ją zdawkowym pocałunkiem i „cześć, kochanie”, przyjrzała mu się dokładnie - i jęknęła z wrażenia na widok długiej ciętej rany na udzie.

- Co ci się stało?

- Pytasz o to? - Wzruszył ramionami. - Zwykle zadraśnięcie. Musiałem gwałtownie skrócić, żeby nie wpaść na innego narciarza, i zaczepiłem nogą o sterczący spod wody pień drzewa.

- Musiałeś gwałtownie skrócić? To znaczy, ledwie uniknąłeś zderzenia?

- Cassie, nie rób z tego sprawy, nic się nie stało.

- Nie rób sprawy?! Widziałam w telewizji, czym się kończą wypadki na nartach wodnych. Tylu ludzi ginie co roku albo kończy na wózku inwalidzkim!

- Jeśli człowiek wie, co robi...

- To znaczy, że to ten drugi facet nie wiedział, co robi?

- Tak.

- Daj spokój, Brian. - Machnęła ręką. - Zawsze jesteś najmądrzejszy. Nie przemyśłeś nawet rany. Chodź do łazienki.

- Zabawisz się w pielęgniarkę? - zapytał z błyskiem w oku.

- Milcz.

Szukając w apteczce wody utlenionej, czuła na sobie jego głodny wzrok. Odwróciła się przez ramię i tłumiąc śmiech, pokazała mu język. Wciąż była wściekła, ale Brian potrafił ją rozbroić jednym zmrużeniem oczu.

- Siadaj na wannie i przestań robić maślane oczy.

Uklękła przed nim na dywaniku, starając się nie koncentrować na jego muskularnych opalonych nogach, zwilżyła wodą utlenioną wacik i zaczęła przecierać ranę.

- Auuu!

- Siedź spokojnie, muszę to zrobić porządnie. A jak twój przyjaciel?

Udało mu się przeżyć to rodeo na wodzie bez większych obrażeń?

- Ale ty przesadzasz, kotku. A jeśli chodzi o Chucka, ma się dobrze.

Zaprosił nas na niedzielny obiad, ale chciał, żebym ustalił to najpierw z tobą.

- Niedziela może być.

- Tęskniłem za tobą, Cassie - szepnął po długiej chwili milczenia. - Ciągłe za tobą tęsknię. Możesz się z tym pospieszyć?

Spojrzała w jego roziskrzzone oczy i poczuła, że zasycha jej w gardle. Nie miała wątpliwości, do czego Brian się tak spieszył. Ona też tego chciała. Była zła za te narty i za wszystkie szaleństwa, które wyczyniał, ale pragnęła go nieustannie. Wyrzuciła brudny wacik do kosza.

- Zrobione. Myślę, że nie trzeba tego niczym zalepiać.

- Uhm. - Niespodziewanie chwycił ją pod pachy i posadził na swoich kolanach. Powoli wsunął rękę pod jej spódnicę, a drugą rozpiął guzik bluzki.

- O co chodzi? - spytała kuszącym szeptem.

- Kiedy patrzyłem, jak grzebiesz w tej apteczce, myślałem tylko o tym, żeby zedrzeć z ciebie tę bluzkę i spódnicę.

- Zauważyłam.

- Ciągłe o tym myślę. Nawet wtedy, kiedy cię przy mnie nie ma.

- To dlatego zostałeś, Brian?

- Ty jesteś powodem, dla którego zostałem - powiedział uroczyście. - Ty cała, nie tylko twoje piękne ciało.

- Wiem, mój kochany - szepnęła, obejmując go za szyję. - Wiem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wczesnym popołudniem w niedzielę Cassie i Brian zatrzymali się przed okazałym dwupiętrowym domem, otoczonym wysokimi sosnami. Cassie wysiadła pierwsza i rozejrzawszy się po rozległym, nienagannie utrzymanym ogrodzie, zagwizdała z wrażenia.

- Pięknie tu. Co robi twój przyjaciel Chuck?

- Jest inżynierem mechanikiem, pracuje w fabryce produkującej sprzęt do rafinerii ropy. Wiem, że na początku małżeństwa, z powodu kryzysu w całym przemyśle ropy, nie było im łatwo, ale w końcu Chuck wylądował w potężnej firmie, której mimo zmiennej koniunktury od lat udaje się utrzymywać stałą ekipę fachowców.

- To świetnie.

Brian wyjął z samochodu torbę z kostiumami do pływania, butelkę wina, którą kupili po drodze, i poprowadził Cassie do drzwi frontowych. Otworzył im wysoki mężczyzna o jasnych włosach, któremu towarzyszyło dwóch chłopców, wyglądających na pięć i sześć lat, i wielki złoty labrador. Pies podbiegł do Cassie i zamerdał ogonem.

- Brian, miło cię znowu widzieć. A to anielskie stworzenie to na pewno Cassie.

- Tak, Cassie Brandon. Cassie, poznaj mojego starego kumpla, Chucka Reinhardta.

- Miło mi. - Cassie wyciągnęła na powitanie rękę, śmiejąc się, kiedy pies próbował skoczyć na jej spódnicę.

- Siad, Aggie! - krzyknął Chuck.

- Właśnie, siad, Aggie - zawtórował mu starszy chłopiec.

- A to są moi synowie, Chuck junior i Trey.

- Jak się macie. - Cassie podała kolejno rękę obu chłopcom.

- Cześć, chłopaki, dajcie piątkę - uśmiechnął się Brian, a Chuck i Trey zachichotali i klepnęli go zamasyżując w otwartą dłoń.

Cassie pokręciła z podziwem głową. Brian był mistrzem w przełamywaniu lodów.

- Chodźcie do kuchni - poprosił Chuck senior. - Przedstawię wam Sally.

W ogromnej, jasnej kuchni ładna blondynka w szortach i bawełnianej koszuli siekała warzywa. Wytarła ręce i podeszła do nich z uśmiechem.

- Cześć, Brian, cześć, Cassie.

- Poznajcie miłość mojego życia, Sarę Ann Reinhardt. - Chuck, z dumną miną, objął żonę, patrząc jej w oczy.

- Sally - poprawiła go, wyciągając rękę.

- Tatusiu... - Starszy chłopiec pociągnął Chucka za koszulę. - Obiecałeś, że będziemy mogli popływać.

- Racja! Brian, pamiętaliście o kostiumach?

- Jasne, że tak. Aha, byłbym zapomniał. - Wyjął butelkę wina i wręczył ją Sally. - Dla szefa kuchni.

- Dzięki.

- Dziewczyny, a wy pójdziecie z nami popływać? - spytał Chuck.

- Ja muszę jeszcze coś zrobić w kuchni - powiedziała Sally - ale ty, Cassie....

- Nie, z przyjemnością dotrzymam ci towarzystwa.

Gdy mężczyźni zabrali piwo i wyszli z chłopcami, Cassie uśmiechnęła się do Sally.

- Masz wspaniałą rodzinę.

- Rzeczywiście, los jest dla mnie łaskawy.

- To świetnie, że chłopcy są w podobnym wieku. Zawsze będą się dogadywali.

- Mam jeszcze córkę. Gretchen ma dziewięć miesięcy i w tej chwili śpi.

- Nie mogę się doczekać, żeby ją zobaczyć. Ale w czym mogę ci teraz pomóc?

- Właściwie mogłabyś zajrzeć do małej.

- Z przyjemnością!

- Przejdź przez pokój dzienny, a potem trzecie drzwi na lewo.

Kiedy Cassie otworzyła drzwi dziecięcego pokoju, westchnęła z zachwytu - ściany i sufit były pomalowane w niebieskie chmurki, do tego żółte i białe meble, pluszowe zwierzęta i zabawki. Świat jak z baśni.

Malutka Gretchen o buzi cherubinka twardo spała. Cassie pochyliła się i dotknęła jej aksamitnego policzka. Poczowała bolesne ukłucie w sercu. Po raz pierwszy tak bardzo zapragnęła mieć dziecko - dziecko Briana. Gdyby tak mogli zbudować razem piękny dom, jak Chuck i Sally... Poczowała wzbierające pod powiekami łzy.

Czy dlatego tak się rozkleiła, że Brian miał wkrótce wyjechać? Nie, dlatego że go kochała. I dlatego że miał wyjechać.

- Śpi jak aniołek - powiedziała z uśmiechem, wróciwszy do kuchni.

- Całe szczęście, niedawno zaczęła ząbkować i bywa bardzo płaczliwa.

- Przerabiałam to ze swoim bratankiem i bratanicą.

Mówiąc to, Cassie podeszła do okna. Chłopcy bawili się plażową piłką w płytkiej części basenu, a Brian z Chuckiem popijali na brzegu piwo i zabierali się do rozpalenia grilla.

- Wygląda na to, że wszyscy czterej dobrze się bawią! - krzyknęła do Sally.

- Tak, Brian jest prawdziwą duszą towarzystwa. Bardzo go lubię. To coś poważnego między wami? - Sally uniosła badawczo brwi.

- Jesteśmy kompletnie zwariowani na swoim punkcie, ale to strasznie skomplikowane. Brian jest z Denver, ja zapuściłam korzenie tutaj. Poza tym on nie pali się do małżeństwa, uważa, że się do tego nie nadaje.

- Chuck mówił to samo, dopóki go nie przekonałam, że jest przeciwnie...

- Moje gratulacje.

Atmosfera w czasie obiadu była przyjazna i bardzo wesoła, zwłaszcza pod koniec, kiedy Brianowi i Chuckowi zebrało się na wspominki z czasów studenckich. Chłopcy zanosili się od śmiechu, słysząc, że ich tatuś ze swoim przyjacielem pomalowali wszystkie okna w sąsiednim akademiku na czarno albo jak o czwartej nad ranem wyśpiewywali serenady pod oknami swoich koleżanek.

Cassie gwałtownie zrzędała mina, kiedy Brian zwrócił się do przyjaciela z prośbą o telefon pewnego pilota...

- ...I koniecznie naszkicuj mi drogę do jego prywatnego lądowiska. We wtorek miałbym jeszcze szansę poskakać na spadochronie.

- Poskakać na spadochronie?! - wykrzyknęła Cassie.

- Czy istnieje jakiś sport ekstremalny, którego nie próbowałeś?

- Tak, surfing w powietrzu.

- A na czym to polega? - zapytała spokojnie Sally.

- Wyskakuje się z samolotu ze spadochronem i z małą deską przypiętą do butów.

- Boże - jęknęła Cassie - ty naprawdę zasługujesz na wariackie papiery.

- Fakt - poparła ją Sally.

- Drogie panie... - Brian rozchylił usta w czarującym uśmiechu. - Żaden z tych sportów nie jest niebezpieczny dla kogoś, kto wie, co robi.

- Kogoś takiego ja ty! - Cassie machnęła wściekle ręką.

- Znam to na pamięć.

- Zawsze lubiłeś igrać ze śmiercią, Brian - wtrącił niespodziewanie Chuck.

- I kto to mówi! - Brian łypnął na niego groźnie. - Kto mnie wyciągnął na narty wodne?

- Lubię sport i czasami lubię poszaleć, jak każdy normalny facet. Ale ty jesteś fanatykiem, nie da się ukryć.

- Wygarnij mu to, Chuck - namawiała Cassie.

- Poczekaj tylko. - Pogroził jej żartobliwie palcem. - Prosisz się o kłopoty.

Po obiedzie mężczyźni zabrali się do sprzątania naczyń, ale chłopcy zaczęli marudzić i ich mama skierowała całe męskie towarzystwo do ogrodu. Wkrótce obudziła się mała Gretchen i gdy Sally poszła się nią zająć, Cassie zrobiła porządek w kuchni. Potem usiadła w ogrodzie i patrzyła na Briana grającego z chłopcami w piłkę.

On tak lubi dzieci, myślała. Ale musi skakać na spadochronie. Na samą myśl ogarniała ją furia.

- Brian ma niesamowite podejście do dzieci. - Sally, z córką na rękę, podeszła do niej od tyłu i usiadła na ławce. - Jestem pewna, że byłby wspaniałym ojcem.

- Tak, gdyby sam kiedyś dorósł - odpowiedziała ponuro Cassie.

- Może dorósłby przy tobie, Cassie. Jest wspaniały, mimo wszystko. Intuicja mi podpowiada, że powinnaś za niego wyjść.

Cassie zaczerwieniła się. Spojrzała na Briana, a on odpowiedział jej promiennym uśmiechem.

Boże, był zbyt wspaniały. Kochał dzieci, to prawda. Ale czy ze swoją straceńczą postawą wobec życia miał szansę zostać odpowiedzialnym ojcem i takim mężem, jakiego ona potrzebowała?

W drodze do domu Brian nieustannie spoglądał na Cassie. Był taki dumny, że mógł z nią odwiedzić swojego przyjaciela. Chuck, Sally i ich dzieci polubili ją od pierwszego wejrzenia.

Myśl o tym, że w środę ma się z nią rozstać, przyprawiała go o histerię, coraz bardziej szalone pomysły zaczęły przychodzić mu do głowy. Może powinien ją porwać albo błagać o rękę?

Ale nawet gdyby ją przekonał do małżeństwa, czy na dłuższą metę potrafiłby jej nie zawieść?

Kiedy znaleźli się w jej mieszkaniu, objął ją bez słowa i zaczął całować twarz, oczy, włosy - z tak szaleńczym zapamiętaniem, jak gdyby za moment miał stracić ją na zawsze.

- Brian... - Spojrzała na niego oszołomiona. - Co się stało?

- Dzisiaj był wyjątkowy dzień. Byłem tam z tobą i widziałem, co mają Sally i Chuck. Siebie. Piękny dom. Troje wspaniałych dzieci. Zazdrościłem im.

- Wiem - uśmiechnęła się. - Ja też.

- Zrozumiałem, że nawet ktoś taki jak ja może zatešknić do własnego domu. Wiesz, że z Chucka było niezłe ziółko? A teraz jest szczęśliwy z Sally i trójką dzieci.

- Więc to nie tylko obowiązki, praca i ciężar odpowiedzialności? - spytała ironicznie.

- Nie... Cassie, gdybym mógł mieć tuzin dzieci podobnych do ciebie, byłbym najszczęśliwszym facetem pod słońcem.

- Brian... co ty chcesz przez to powiedzieć? - spytała z radosnym podnieceniem, choć nie do końca wierzyła własnym uszom.

- Cassie, poleć ze mną w środę...

- Brian, rozmawialiśmy już o tym. Jesteś wspaniały, wiem, że zdobyłeś się na wiele poświęceń, żeby udowodnić sobie i mnie, że nasz związek może przetrwać. Ale oboje zdajemy sobie sprawę, że dużo nam brakuje do tego, żeby z pełną powagą - choć może cię to śmieszyć - powiedzieć „dopóki śmierć nas nie rozłączy”.

- Potrzebujemy więcej czasu.

- Czyli chcesz mieć wszystko bez żadnych poświęceń, żadnych ustępstw. Milczał.

- Brian, nie chcę być z tobą, żeby tłamsić twój charakter, bo dla nas obojga skończyłoby się to żałośnie. Poza tym, gdybyś naprawdę chciał założyć rodzinę, dalej nie mógłby żyć bez karkołomnych wyczynów?

- A co ma z tym wspólnego moje zamiłowanie do sportu?

- Mówi coś o tobie. Jakoś nie mogę sobie ciebie wyobrazić w bujanym fotelu przed kominkiem. Swoją drogą, skakanie z samolotu jest tym, co cię najbardziej w tej chwili zajmuje, prawda?

- Najbardziej? Przecież ty będziesz w pracy...

- Aha. Więc za to, że cię bez przerwy nie zabawiam, musisz mnie ukarać, skacząc na łeb z samolotu?

- Karać? Cassie, nie próbuję cię za nic karać!

- A ja mam czasem wrażenie, że tak jest.

- Cassie, wiem tylko, że chcę z tobą być. Niczego innego na świecie tak bardzo nie pragnę.

- Ja też, Brian... - Nie mogła z siebie wydusić ani słowa więcej.

Kiedy we wtorek wieczorem Brian włókł się po schodach do mieszkania Cassie, nie miał wrażenia, że skoki z samolotu odświeżyły mu umysł, na co tak bardzo liczył poprzedniego dnia. Był nieprzytomny ze zmęczenia i wykończony psychicznie. Czuł się jak strzęp człowieka, ale po koszmarze, który przeżył, po tym, jak cudem uniknął śmierci, nie mógł się czuć inaczej.

Stanął przed jej drzwiami i westchnął. Cokolwiek się stało, nie powinien wyprowadzać jej z równowagi. Nacisnął dzwonek i całą siłą woli spróbował zrobić wesołą minę.

Cassie pojawiła się przed jego oczami w smudze jasnego światła. Miała jeszcze na sobie służbowe ubranie, na nim fartuszek kuchenny, a w ręku - wielką łyżkę. Z wnętrza mieszkania dobiegł jego nozdrzy zapach sosu pomidorowego.

Wzruszenie przepełniło mu serce. Cassie. Dom. Boże, jak on ją kochał. I nie liczyło się teraz nic więcej. Nie wiedział, co jej powiedzieć, jak się zachować.

- Hej, Brian... - Patrzyła na niego podejrzliwie. - Co ci jest?

- Nic, kochanie. - Wszedł do środka, objął ją drżącymi rękami i pocałował. - Boże, jak dobrze cię widzieć.

Dzięki Bogu, że tu była, bezpieczna w jego ramionach. Jej ciepło koło mu nerwy, jej smak wzbudził w nim dzikie pożądanie. Chciał być z nią teraz w łóżku - nagą i oddaną.

Ale ona go odepchnęła i zmierzyła niespokojnym wzrokiem.

- Brian, o co chodzi?

- Jak to? Stęskniłem się za tobą. Chodź, kochanie, chcę cię kochać.

- Nie. Brian, co się stało?

- Dlaczego od razu myślisz, że coś się stało?

- Po pierwsze, jesteś błąd jak upiór. Ukrywasz coś.

- Cassie, przesadzasz...

- Nie. Powiedz mi, co takiego się wydarzyło? Brian, tylko nie mów mi, że nic. Nie okłamuj mnie!

- Nic specjalnego - wymruczał. - Jeden mały feler spadochronu.

- Brian... - Pobladła, patrzyła na niego prawie bez tchu. - Przez ten jeden mały feler mogłeś zginąć!

- I jak ja ci mogę o wszystkim mówić. - Wyrzucił w górę ręce. -

Dramatyzujesz z powodu każdego głupstwa.

- Nie - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Powiedz mi wreszcie, co się stało.

- Z jakiegoś powodu nie otworzył mi się główny spadochron...

- Co?

- Cassie, proszę, nie panikuj. To nic nadzwyczajnego. Musiałem po prostu otworzyć spadochron zapasowy.

Patrzyła na niego bez słowa - blada, skamieniała, śmiertelnie przerażona. Boże, jak on teraz siebie nienawidził... Nigdy nie będzie mógł jej powiedzieć, co naprawdę przeżył, jak bardzo się bał, że już nigdy jej nie zobaczy.

- Cassie, nie patrz tak na mnie. Nic się nie stało, naprawdę.

- Nie kłam! - Odepchnęła go i otarła z policzka łzę. - Igrasz ze śmiercią na deskach, nartach wodnych, cholernych spadochronach, które się nie otwierają!

Pora, żebyś spojrział prawdzie w oczy i przestał być przerośniętym dzieckiem.

Daj sobie z tym spokój!

- Ze wszystkim?

- Tak, ze wszystkim.

- Nie mówisz tego poważnie. Cassie, bądź rozsądna, znowu próbujesz ograniczyć moją wolność.

- Próbuję ustrzec cię przed śmiercią! - krzyknęła w pełnej furii.

- To śmieszne.

- To, że chcę, żebyś żył? Czy to, że próbuję ograniczyć ci wolność?

- Wiem, że kiedyś będę musiał trochę spauzować, ale ty stawiasz sprawę na ostrzu noża. To nie jest rozsądne.

- Dlaczego nie? Ty we wszystkim, co robisz, przekraczasz granicę rozsądku. Ja nie mogę?

- Cassie... - Próbował jej dotknąć, ale znowu odskoczyła jak oparzona. - Jesteś zdenerwowana, bo jutro wyjeżdżam.

- Słuchaj, jeśli myślisz, że jedynym problemem jest to, że wyjeżdżasz, musisz być naprawdę tępy.

Odwróciła się na pięcie, wpadła do kuchni i zaczęła ciskać garnkami. Brian rzucił się na kanapę z bezradnym jękiem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Następnego ranka Cassie, kompletnie wyczerpana, nie była w stanie skupić się na pracy.

Kłócili się do późna w nocy i nie doszli do żadnego porozumienia. Brian nawet nie pocałował jej na pożegnanie. Zadzwoił co prawda rano, ale rozmowa zupełnie się nie kleiła. Chciał umówić się z nią na lunch i jak zwykle był bardzo zawiedziony, że Cassie nie może wyrwać się o tej porze z pracy. Obiecał, że zadzwoni jeszcze raz z lotniska.

Może przesadziła, żądając, żeby zrezygnował ze wszystkich ryzykownych sportów, ale on naprawdę potrzebował jakiejś terapii wstrząsowej, żeby wydorosnąć.

Kiedy zadzwonił telefon, podskoczyła na krześle i chwyciła za słuchawkę.

- Tak?

- Cześć, Cassie... Posłuchaj, musimy jeszcze porozmawiać.

- Rozmawialiśmy wczoraj i do niczego nie doszliśmy.

- Właśnie. Odlatuję do Denver o ósmej wieczorem. Naprawdę chcesz, żebyśmy rozstali się w ten sposób?

- Kiedy stąd wyjdę, będzie za późno.

- Pomyślałem o tym. Niedaleko twojego biura jest park Tranquility.

Prawie się w nim zakochałem. Spotkajmy się tam o wpół do piątej. Przyniosę coś do jedzenia i będziemy mieli jeszcze kilka godzin na pogadanie.

- Pożegnalna kolacja bez świec?

- Cassie, proszę.

- Chciałabym, ale nie mogę. O czwartej mam spotkanie z przedstawicielem dużej firmy.

- Szkoda, wiedziałas przecież, że dzisiaj wyjeżdżam. Będę w tym parku tak czy inaczej. A ty zrobisz, oczywiście, jak zechcesz.

- Dobrze.

- Cześć.

Czuła się okropnie. Oczywiście, że nie chciała rozstawać się z nim w ten sposób, ale miała zamęt w głowie i nie wiedziała, jak to wszystko załatwić.

Pamiętała, jak jej zarzucił, że próbuje go kontrolować, ograniczać mu wolność. Nawet jeśli to była prawda - czy nie zasłużył sobie na to bezmyślnym zachowaniem? Ale w Galveston Brian przypomniał jej główny powód, dla którego uciekła od Chrisa. Miał rację. Chris usiłował dyktować jej, co ma robić ze swoim czasem i ze swoim życiem. Czy nie to samo robiła teraz z Brianem, oczekując, żeby porzucił dla niej sport?

Zerwała się z krzesła i zaczęła chodzić po pokoju, w tę i z powrotem. Nigdy nie chciała podcinać Brianowi skrzydeł, tłamsić jego żywiołowego charakteru. Po prostu bała się o niego, kiedy ryzykował życie! Ale czy życie z natury nie jest ryzykowne? A miłość? Czy zawsze będzie się bała, czy pozwoli sobie na odrobinę ryzyka i uwierzy, że ich miłość może przetrwać?

Czuła się taka rozdarta. I dalej nie wiedziała, co ma zrobić!

Brian przyszedł do parku wcześniej, z wielką torbą jedzenia z ich ulubionej meksykańskiej restauracji. Rozglądał się dookoła, podziwiając piękne stare drzewa, zabytkową fontannę, współczesne rzeźby na trawnikach, stada kolorowych ptaków.

Szczerze wątpił, czy doczeka się Cassie. Nie mógł sobie darować, że postawił jej tak obcesowe ultimatum, bał się panicznie, że straci ją na zawsze, ale nie miał pojęcia, jak to wszystko naprawić.

Zauważył starszego mężczyznę kuśtykającego o lasce w stronę najbliższej ławki. Kiedy zachwiał się lekko, Brian rzucił się ku niemu długim susem i podał mu rękę.

- Pomogę panu.

- Dziękuję, synku. - Mężczyzna, w skromnym ubraniu i czapce golfowej, położył dłoń na jego ramieniu i usiadł ostrożnie na ławce. - Gorąco dzisiaj. - Zdjął czapkę i powachlował nią twarz. - Czekasz na kogoś?

- Tak, na swoją dziewczynę. Mam nadzieję, że urządzimy sobie przed zmierzchem piknik.

- Jakie to romantyczne.

- A pan? Łapie pan trochę słońca?

- Tak, to dobrze robi na stare kości.

- Pewnie przyjechał pan z daleka po południowe słońce.

- Nie, mieszkam tutaj. Widzisz ten dom? - Wskazał palcem okazały wieżowiec. - Mam tam apartament na trzydziestym piętrze.

- Mieszka pan w zatłoczonym mieście, w samym centrum z własnej nieprzymuszonej woli? - Brian nie krył zdumienia.

- Lubię chodzić na koncerty, do teatru, tu jest mój kościół. Nie mam już prawie rodziny - westchnął ciężko. - W moim wieku nie ma sensu mieszkać daleko od miasta. Moje stare nadwerężone ciało nadaje się już tylko do jeżdżenia windą i kuśtykania po parku.

- Odniósł pan jakieś obrażenia w czasie wojny?

- Nie! - Starszy pan zaniósł się śmiechem. - To nie wojna zrobiła ze mnie taki wrak.

- Przyznam, że wzbudził pan moją ciekawość...

- Mocno żyłem, synku, a to kosztuje. Byłem poszukiwaczem nafty. I niespokojnym duchem. Zdobyłem i straciłem kilka fortun, podróżowałem po świecie, jeździłem na narty w Alpy, nurkowałem.

- To fantastyczne...

- Miałem mnóstwo kobiet. Oczywiście za wszystko trzeba płacić. W Szwajcarii w wypadku na nartach omal nie straciłem życia. Zniszczyłem sobie stawy w biegach maratońskich. Czasami myślę, że nie zamieniłbym się z nikim na życie, a innym razem...

- Tak?

- Ach... - Mężczyzna machnął ręką. - Po co masz słuchać takich nonsensów.

- Bardzo mnie to ciekawi, naprawdę.

- Czasami myślę, że straciłem to, co w życiu najbardziej się liczy - dom, żonę i dzieci. Odszedłem od nich trzydzieści lat temu. - Zaśmiał się ironicznie. - Moja żona próbowała mną rządzić, przynajmniej tak mi się wydawało. A dla mnie ważne było tylko to, czego ja chcę. Nigdy mi nie przyszło do łba, że jestem obrzydliwym egoistą. Teraz jestem starym samotnym człowiekiem, który może mieć żal tylko do siebie. Dorosłe dzieci prawie ze mną nie rozmawiają. Godzinami wysiaduję w parku na ławce, w nadziei, że słońce wyleczy moje bolące kości. Lekarze ostrzegali mnie trzydzieści lat temu, żebym zmienił tryb życia, ale ja nigdy nikogo nie słuchałem.

Brian milczał jak zakłęty. Czy wyobrażał sobie siebie za czterdzieści lat - samotnego, w takim stanie, jak ten człowiek, nie mającego nic poza wspomnieniami z tak zwanych dobrych czasów? Nie, chciał czegoś więcej od życia. Pragnął miłości Cassie i gotów był na wszelkie poświęcenia, byle ją tylko zdobyć.

- Nie chciałem cię wprowadzić w zły nastrój - odezwał się przeproszającym głosem mężczyzna.

- Ależ nie, nie szkodzi... Bardzo jestem panu wdzięczny za tę opowieść.

- A gdzie też może być twoja dziewczyna?

- Nie jestem pewien, ale chyba będę musiał pójść jej poszukać. Miałby pan może ochotę na meksykańską kolację?

- Żartujesz?

- Nie. - Brian wstał i położył na ławce torbę z jedzeniem. - Smacznego, i proszę o siebie dbać.

- Dziękuję.

- To ja panu dziękuję.

Brian uściskał mu rękę i pobiegł przez park, a potem w dół, szeroką aleją do najbliższego skrzyżowania, i nagle zatrzymał się jak wryty. Nie wierzył własnym oczom...

- Cassie! - wrzasnął radośnie.

- Brian! - Serce załomotało jej ze szczęścia.

- Przepraszam, że byłem takim draniem, tak bałem się ciebie stracić - powiedział jednym tchem, porywając ją w objęcia.

- Ja też nie byłem w porządku. Ale w końcu spotkaliśmy się w pół drogi - roześmiała się przez łzy.

- Cassie, kocham cię i nie mogę bez ciebie żyć. Teraz już wiem, że jesteś dla mnie stworzona, że potrzebuję twojego rozsądku, żeby zacząć normalnie żyć. Rzucę wszystkie sporty, jeżeli od tego ma zależeć, czy będziemy razem.

- Brian, ja też cię kocham. Ale nigdy nie chciałam ci mówić, co masz robić. Przemyślałam to i wiem, że byłam głupia. Nie żądam, żebyś rzucił wszystkie sporty...

- Ale Cassie...

- Posłuchaj, to strach przeze mnie przemawiał, a ja nie chcę, żeby strach rządził naszym życiem. Oczywiście jeżeli mamy zamiar myśleć o wspólnej przyszłości, musisz narzucić sobie jakieś rozsądne granice i nie igrać z losem, tak jak w czasie tego nieszczęsnego sztormu.

- Zgoda, kochanie... Te szaleństwa to był mój sposób na ucieczkę. Nie chciałem angażować się uczuciowo, broniłem się przed tym, bo bałem się ryzyka, że kiedyś będę cierpiał tak jak po śmierci Jasona. Ale ja też nie chcę, żeby strach rządził naszym życiem.

- Och, Brian...

- I z przyjemnością przeniosę się do Houston. Za nic nie chcę cię stracić.

- Ale tu jest tak płasko... - roześmiała się, ocierając łzy. - Nie mogę żądać, żebyś porzucił swoje góry...

- Więc jakie jest inne wyjście?

- Nie wiem... Może ją mogłabym się przenieść. Od powrotu z Galveston praca w agencji coraz mniej mi się podoba. Chyba powinnam znaleźć coś bardziej twórczego niż zarządzanie finansami.

- Chcesz powiedzieć... - Radość zabłysła w jego oczach.

- Może spróbujemy pomieszkać przez rok w Denver? A potem rzucimy monetę albo wybierzemy zupełnie inne miejsce...

- Cassie! Jakbym słyszał siebie...

- Nie mówię, że nadaję się do włóczęgostwa, ale może jestem bardziej podobna do ciebie, niż sądzisz. To prawda, że stałam się trochę bardziej szalona dzięki tobie. Ale mam nadzieję, że ty jesteś trochę rozsądniejszy dzięki temu, że poznałeś mnie.

- Dużo rozsądniejszy, Cassie. Chcę, żebyś została moją żoną, i przysięgam, że to nie chwilowa zachcianka. To propozycja na całe życie. Zrobię wszystko, żeby zbudować bezpieczną przyszłość dla ciebie i dla naszych dzieci. Wiem, że z czasem wszystko się ułoży. Nawet jeśli ty jesteś wodą, a ja ogniem.

- Słowo orlego skauta?

- Przysięgam. - Uniósł trzy palce. - Słowo orlego skauta. Więc zgodzisz się za mnie wyjść?

- Tak! - Zarzuciła mu ręce na szyję i obsypała twarz gradem pocałunków.

EPILOG

- Ostatni družba się spóźnia?

Miesiąc później, stojąc po raz drugi w przedsionku parafialnego kościoła w Houston, w nowej sukni i welonie, Cassie zaśmiała się do pięcioletniej Emily. Historia się powtarzała, ale miała mieć inne, szczęśliwe zakończenie.

- Nie, kochanie, nie spóźnia się. I nie jest już družbą, tylko panem młodym.

- To dlaczego czekamy?

- Żeby organista mógł zagrać naszą ulubioną melodię. Słyszysz? „Mogłabym się zakochać”, taki jest tytuł tej piosenki. Ale nie martw się, zaraz usłyszysz marsz weselny.

- Wiesz, ciociu, jak długo czekałam na ten ślub?

- Wiem, słoneczko, ja też.

- Ale dzisiaj nie uciekniesz, prawda?

- Nie ma mowy.

- Jeśli to zrobisz... - Emily uśmiechnęła się i pogroziła Cassie palcem - to powiem nauczycielowi, żeby zatrzymał cię w kozie.

- Nie martw się, tym razem będę grzeczna.

- A wiesz, ciociu, najbardziej się cieszę, że znowu mogłam włożyć tę ślubną sukienkę.

- Rozumiem. Wyglądasz w niej bardzo pięknie.

- Ty też. Ale dlaczego masz dzisiaj inną suknię?

- Bo musiałam założyć „coś nowego”. To taki zwyczaj.

- Ale przecież masz już coś nowego, ciociu. Masz nowego pana młodego!

- Tak, masz rację, skarbie.

Cassie zerknęła w bok na rozpromienioną Lisę.

- Szczęśliwa?

- Jak nigdy.

- I tak trzymaj.

Cassie uśmiechnęła się do siebie. Pomyślała o ostatnim szalonym miesiącu. Rzuciła pracę, poleciała z Brianem do Denver i poznała jego cudowną rodzinę. Organizowała przeprowadzkę.

Brian przekonał ją, żeby zaczęła szukać pracy dopiero po ich miodowym miesiącu. Dawał jej też do zrozumienia, że jak najszybciej chciałby mieć syna. Zabawne, sześć tygodni temu oburzyła się na Chrisa, który nalegał, żeby po ślubie przestała pracować. Teraz perspektywa zrezygnowania na jakiś czas z pracy, żeby urodzić Brianowi dzieci, wydała jej się cudowna.

Do kościoła wszedł jej ojciec z Seanem, obaj z uradowanymi minami.

- Cassie, nigdy nie wyglądałaś piękniej - powiedział ojciec, całując ją w policzek.

- To prawda, ciociu - dorzucił Sean - wyglądasz naprawdę super.

- Dziękuję, kochanie.

- Aha, byłbym zapomniiał. - Bill Brandon wyciągnął schowaną dotąd za plecami lewą rękę.

- Niebieskie orliki! - Cassie krzyknęła z zachwytem. - Brian nie zapomniiał. Ale skąd on je zdobył?

- Poprosił o nie swojego przyjaciela, tego, z którym chodzi w góry. Brian kazał ci powiedzieć, że to na szczęście.

- Ciociu, dasz mi kilka niebieskich kwiatków? - spytała Emily.

- Oczywiście, kochanie, podzielimy się.

- No dobrze. - Ojciec Cassie zaklaskał. - Wyrównać orszak!

- Tak jest, sir. - Lisa zasalutowała.

Bill uśmiechnął się z dumą do córki i uściskał jej rękę.

- Jesteś naprawdę szczęśliwa, skarbie?

- Tatusiu, nie masz pojęcia...

- W takim razie, gotowa? - Podał jej ramię.

- Nie mogę się doczekać.

Bill mrugnął porozumiewawczo do drухen.

- Kusilo mnie, żeby wziąć tym razem kajdanki i przykuć Cassie do ołtarza, na wszelki wypadek, ale jej mama nie chciała o tym słyszeć.

- Przestań - Cassie klepnęła ojca w ramię. - Wiesz, że nigdzie się nie wybieram. Tylko z Brianem do Paryża.

- Prawdę mówiąc, córeczko, wiem, że nie masz zamiaru uciec. Od pierwszej chwili, gdy ja i mama poznaliśmy Briana i zobaczyliśmy was razem, wiedzieliśmy, że jesteście dla siebie stworzeni.

- Na pewno, tatusiu.

- No to cóż, kochanie, idziemy?

- Jestem gotowa.

Cassie wkroczyła ze swoim ojcem do kościoła, uśmiechając się do gości. Rozpromieniła się, wypatrywszy w pierwszym rzędzie swoją mamę, i wreszcie spojrzała na Briana. Czekał na nią przed ołtarzem, olśniewająco przystojny w czarnym smokingu. Uśmiechnął się czule, kiedy zobaczył w jej bukiecie niebieskie orliki.

Odwzajemniła uśmiech i nagle oczy zabłysły jej radośnie, kiedy spojrzała na stojącego koło Briana družbę - to był jego własny, osiemdziesięciodwuletni dziadek! Wysoki, dystyngowany dżentelmen wyglądał na więcej niż szczęśliwego, kiedy patrzył na zbliżającą się do nich pannę młodą.

- Twój dziadek jest cudowny - powiedziała wczoraj na próbnej uroczystości - ale to on ma być twoim družbą? Czy to nie dziwne?

- Nie. Jest wdowcem, ale przysiągł mi, że nie ożeni się powtórnie. A znając twoją skłonność do zakochiwania się przed ołtarzem w kimś innym... Nie mam zamiaru ryzykować, kochanie.

